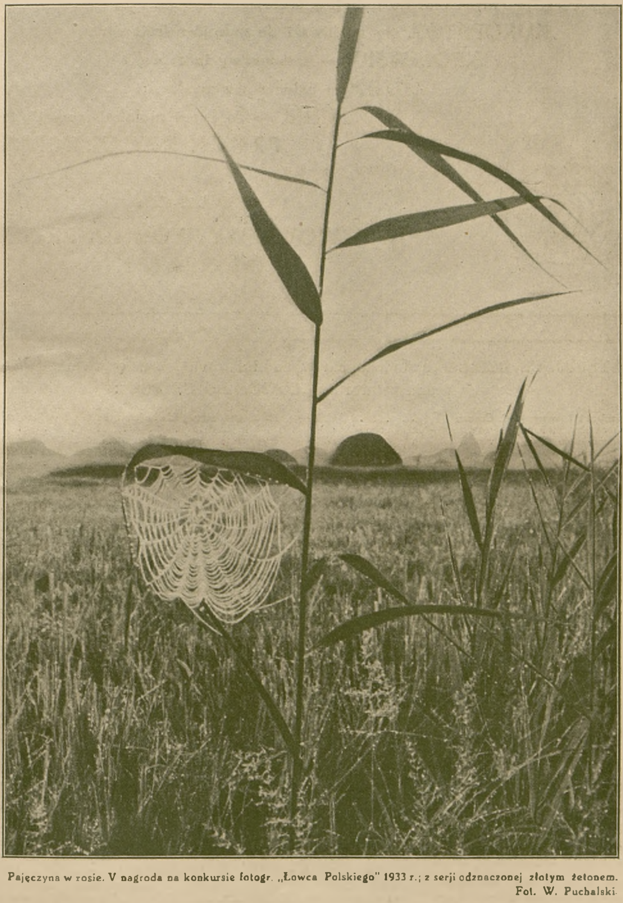
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Pajęczyna w rosie. V nagroda na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego" 1933 r.; z serji odznaczonej złotym żetonem.
Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 28 (768) 1 PAZDZIERNIKA 1934 R.



Łoś zabity przez kłusowników w nadl. „Wiado". (Patrz wzmiankę na str. 571)

NAUKA ŁOWIECTWA W CZECHOSŁOWACJI.

Bawiąc dla swoich spraw naukowych w Czechosłowacji, miałem sposobność zetknąć się z kołami łowieckiemi oraz zapoznać się bliżej z organizacją łowiectwa. Specjalnie zainteresowała mnie sprawa nauczania łowiectwa w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Brnie Morawskiem.

Pozwalam sobie tę sprawę poruszyć na łamach „Łowca Polskiego" i z tego powodu, że rzeczy te leżą u nas w Polsce naogół odłogiem: na 5 dotychczas istniejących wydziałów rolniczych i 3 wydziały leśne, jedynie w Poznaniu istnieje Zakład Ichtiobiologji i Łowiectwa (dla tamtejszych wydziałów rolniczego i leśnego), pozostający pod kierunkiem prof. dr. E. Schechtla. Co do innych uniwersytetów, to od czasu śmierci ś. p. Sztolcmana miejsce wykładającego łowiectwo w Warszawie nie zostało obsadzone, pozatem tylko na jednym z wydziałów rolniczych znajduje się docentura, mająca w swojej specjalności wymienione łowiectwo.

Nie tu jest miejsce podnosić znaczenie wychowawcze, gospodarcze, wreszcie nawet turystyczne i propagandowe łowiectwa, jak się to okazało ostatnio podczas kongresu „Conseil International de la Chasse" w Warszawie. Z tego, co przed chwilą powiedzieliśmy, wynika, że bodaj co roku opuszcza nasze wydziały rolniczo-leśne paruset inżynierów rolnictwa i leśnictwa, którzy obejmują częstokroć eksponowane placówki w lasach państwowych lub prywatnych, nie zapoznawszy się nawet w zarysie z zasadniczemi podstawami racjonalnej i nowoczesnej hodowli i ochrony zwierzyny. Dlatego też mam wrażenie, że przedstawienie warunków i sposobu nauczania łowiectwa u naszego sąsiada może mieć pewne znaczenie dla rozwoju naszych stosunków.

Jest rzeczą ciekawą, że w Czechosłowacji, gdzie rolnictwo w szerokiem tego słowa znaczeniu odgrywa naogół mniejszą rolę w życiu gospodarczem i w której z politycznych względów ustawodawstwo łowieckie w porównaniu z naszem pozostawia niejedno do życzenia, — już w r. 1920 przy zakładaniu Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Brnie pomyślano o założeniu specjalnego zakładu naukowego, poświęconego łowiectwu, a na jego kierownika powołano prof. inż. A. Dyka, twórcę znanej i niejednokrotnie stosowanej i u nas w Polsce metody premjowania parostków sarnich i poroży jelenich. Zakład łowiectwa połączono z zakładem ochrony lasu, głównie ze względu na osobę prof. Dyka, będącego i w tych kwestjach znanym specjalistą.

Organizacja studjów przewiduje dla łowiectwa 2 godziny tygodniowo przez 2 semestry (t. j. jeden pełny rok akademicki), przyczem w wykładach tych zostaje omówiona przedewszystkiem hodowla i biologja zwierząt łownych Czechosłowacji, a w szczególności jelenia, sarny, zająca, kuropatwy i bażanta, stanowiących tutaj, jak wiadomo, najważniejsze rodzaje zwierzyny. Patologji i zwalczaniu chorób zwierzyny łownej jest poświęcona osobna godzina wykładów przy weterynarji rolniczej. W wykładach tych uwzględniane są najważniejsze podstawowe dane, dotyczące zasad łowiectwa, jego rodzajów, wreszcie prawa łowieckiego. Osobny dział stanowią wykłady, poświęcone kynologji łowieckiej oraz balistyce, w niezbędnych dla myśliwego ramach.

Do dyspozycji wydziału leśnego stoi pozostający pod zarządem jednego z profesorów obszar leśny Adamov (około 8.000 ha) obok Brna, którego część podlega bezpośrednio dyrektorowi zakładu łowiectwa i stanowi teren ćwiczeń praktycznych oraz objekt do-

świadczalny. Obok seminarjów, na których omawiane są różne kwestje, tyczące się łowiectwa, balistyki i t. p., studenci są obowiązani brać udział w organizacji polowań na kuropatwy, zające lub bażanty, przyczem na polowaniu takiem, organizowanem przez studentów, jest zazwyczaj obecny profesor, lub jego asystent, zwracający uwagę na najróżniejsze, wyłaniające się podczas polowania kwestje natury organizacyjnej i innne. Przy końcu drugiego roku łowiectwo stanowi jeden z obowiązkowych przedmiotów t. zw. pierwszego głównego egzaminu państwowego.



Część zbiorów Zakładu Łowiectwa i Ochrony Lasu Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Brnie Morawskiem. W środkowym rzędzie różne typy parostków sarnich, w dolnym rozwój uzębienia oraz modele rozwoju parostków. Fot. Dr. J. Lemerie.

Co się tyczy samego zakładu, to jest on, jak większość zakładów naukowych, rozbudowany i dobrze zaopatrzony w pomoce naukowe. Piękne muzeum, obejmujące wszystkie zwierzęta łowne Czechosłowacji, częstokroć w pięknych dioramach, jest tak umieszczone, że słuchacze mają doń w ciągu dnia wstęp wolny dla uczenia się do egzaminów. Osobny dział obejmuje szereg najróżniejszych modeli i urządzeń łowieckich oraz wykresy, ilustrujące rozwój łowiectwa i t. p. We wspomnianym dziale ochrony lasu znajdujemy piękny zbiór ptaków oraz urządzenia dla ochrony ptaków systemu bar. Berlepscha. Pozatem nie brak zakładowi specjalnego preparatora, pracującego nad uzupełnieniem zbiorów naukowych.

Brak miejsca nie pozwala mi wspomnieć dłużej o działalności naukowej zakładu łowiectwa. Stoi ona w ścisłym związku z szerokiemi kołami łowieckiemi; zresztą prof. Dyk jest prezesem Myśliwskiej Jednoty, organizacji, odpowiadającej naszemu Związkowi Słow. Łow., a s k u p i a j ą c e j w s z y s t k i c h c z e s k i c h m y ś l i w y c h. Ostatnio ukazały się dwie prace prof. Dyka p. t. „Mala Mysliwost" oraz „Bażantnictwi": pierwsza stanowi mały podręcznik łowiectwa, druga zaś na podstawie doświadczeń autora obszerny zarys nowoczesnej hodowli bażanta, zwierzyny odgrywającej, jak wiadomo, wybitną rolę w stosunkach łowieckich Czechosłowacji.

DOC. DR. K. WODZICKI.

O ŁOWIECTWIE, SPORCIE I TERMINOLOGJI.

Gdy, zastanawiając się nad pytaniem, czy łowiectwo jest sportem, biadałem nad chwiejnością terminologji naszych dysput łowieckich i nawoływałem do wnikania w treść wyrazów, któremi chętnie szafujemy, nie mogłem, naturalnie, przewidzieć, że już w następnym numerze artykuł p. Wł. Zabiełły potwierdzi słuszność mych obaw przed skutkami owej „chwiejności terminologji"*). Skutki te określiłem wtedy jako — „zjawisko, gdy ludzie jednakowego poziomu intelektualnego, piszący lub rozmawiający w tym samym języku, nie rozumieją się wzajemnie, gdyż używają albo różnych wyrazów dla określenia identycznych pojęć, albo jednakich wyrazów dla określenia pojęć różnych".

Daleki jestem od insynuowania p. Zabielle, że zrozumiał opacznie wszystkie bez wyjątku myśli moje.

Podobna insynuacja byłaby naprawdę ujmą dla Szan. Oponenta, któremu bezsprzecznie w znacznie większym stopniu, niż niżej podpisanemu, należy się miano „wytrawnego szermierza", — którem to mianem zaszczycił mnie i nawet — zawstydził. Zawstydził — bo, pełniąc od lat szeregu rolę publicysty i rzucając od czasu do czasu te lub inne myśli, czynię tak w przekonaniu, że poruszam rzeczy aktualne i ciekawe i że roztrząśnięcie tych rzeczy będzie pożyteczne. Polemikę każdą witam radośnie, gdyż sam fakt jej zjawienia się uważam za potwierdzenie potrzeby poruszenia pewnej kwestji. Poruszam te kwestje, kierowany zawsze głębokiem przekonaniem, nigdy zaś chętką *„épaler le bourgeois"*. Polemistów moich witam, jak przyjaciół, nie zaś jak zawodowych opozycjonistów, owianych t. zw. duchem przekory. Toteż nie zrozumiałem dobrze celu wstępnych uwag p. Zabiełły, stwierdzających oddawna zresztą zauważony przezemnie zbieg okoliczności, iż często (boć jednak nie zawsze!) występuje do mnie w opozycji. Wszak chyba nie przypuszcza On, bym ja osobiście, lub którykolwiek z czytelników mógł ten zbieg okoliczności przypisać czy to „duchowi przekory", czy to innym względom ubocznym?

Pozostawiając na stronie tę maleńką dygresję, przechodzę do rzeczy. Daleki jestem, powtarzam, od posądzenia, iż p. Zabiełło zrozumiał opacznie wszystkie bez wyjątku myśli mego artykułu „Czy łowiectwo jest sportem". Sądzę jednak, że w rzeczach najważniejszych zaszło nieporozumienie, które chciałbym ze swej strony oświetlić. To będzie celem kilku uwag poniższych.

*

Język t. zw. literatury pięknej ozdabiamy metaforami, przenośniami, niedomówieniami, dowolnym doborem wyrazów. Poeta nie odpowiada za ścisłość terminologji, ba — nawet za gramatykę niekiedy nie odpowiada, gdyż zawsze może się zasłonić licencją poetycką. Inaczej — w literaturze „brzydkiej", do której i piśmiennictwo fachowe należy. Tu zawsze obowiązuje możliwie osiągalna ścisłość terminologji. Tu licencja powinna być zredukowana do minimum w obawie przed zarzutem, że autor jest bardziej poetą, niż publicystą. Miano „poety" nikomu wprawdzie nie ubliża, lecz nadaje utworowi specyficzny charakter. Sądzę, że genjalny poeta może z księgi kucharskiej stworzyć poemat, wątpię jednak, czy obiad ugotowany z przepisów tej księgi będzie lekko strawny.

Mamy współcześnie dwa zjawiska: łowiectwo i sport. Twierdziłem i twierdzę, że są to dwie dziedziny odrębne. Wskazałem dwie istotne cechy sportu (doskonalenie się fizyczne i współzawodnictwo) i starałem się udowodnić, że te dwie cechy obce są łowiectwu (myślistwu). Pan Zabiełło, nie negując

*) Łowiec P. Nr. 21 i 22 z r. b.

tych dwóch cech sportu, jako cech istotnych *), stara się wykazać, że te dwie cechy, czy też, jak kto woli — elementy, mieszczą się w pojęciu łowiectwa (myślistwa).

Zacznijmy od pierwszej cechy t. j. doskonalenia się fizycznego. Szan. Oponent sięga przedewszystkiem do argumentu historycznego i mówi, że „do najdawniejszych sportów, jako najstarsze wiekiem... należy myślistwo"... Zgoda! Sam pisząc w r. b. recenzję z książki dr. Ziembickiego o Sobieskim nazwałem myślistwo „przysposobieniem wojskowem i wychowaniem fizycznem w wieku XVII-ym". Ale — czy spieramy się o przyczynki do dziejów łowiectwa, czy też dyskutujemy o w s p ó ł c z e s n y c h pojęciach sportu i myślistwa? Czy, gdy mówię krótko: „broń myśliwska", bez dalszych przymiotników, mam na myśli muzealną fuzję Napoleona, czy też raczej współczesny wyrób Défourny'ego lub Heima? Argument historyczny w odniesieniu do zjawisk współczesnych nie jest argumentem, jest on tylko stwierdzeniem ewolucji tych zjawisk w przekroju dziejowym, kiedy to „w miarę przystosowywania do potrzeb i upodobań" — „zaczęło się mówić o klasyfikacji i przewartościowaniu sportów" (słowa p. Zabiełły). Powtarzam: nie chodzi o to, czem myślistwo było niegdyś, lecz o to, czem jest ono dziś.

Drugi argument p. Zabiełły ma charakter, że tak powiem, posiłkowy. Jego zdaniem i współczesne myślistwo opiera się na uprawianiu całego szeregu innych sportów: — konnej jazdy przy polowaniu par force, „biegu naprzełaj", przy polowaniu z ogarami, „nawigacji" przy polowaniu wodnem, narciastwa przy łowach po śniegu, alpinizmu przy polowaniach górskich etc. Argument ten nie wytrzymuje, zdaniem mojem, krytyki. Wszak strażnik graniczny dokazuje „rekordów" w pościgu za przemytnikami! Wszak bandyta może atakować lub uciekać konno, łodzią, pieszo — forsując najbardziej trudne przeszkody! Wszak nawet skromny złodziej kieszonkowy nieraz ucieka się do „biegu naprzełaj" przed pogonią policjanta! Czy ma z tego wynikać, że wymienione zawody wzgl. procedery są sportem?...

Trzeci argument wskazuje na okoliczność, że Anglicy, którzy są twórcami pojęcia sportu, zaliczają myślistwo do sportów. Wiem o tem. Wiem, że i zagranicą i u nas często mówi się i pisze o „sporcie myśliwskim". Właśnie ten fakt dał mi bodźca do rozważań na temat „czy łowiectwo jest sportem"... Jakkolwiek cenię autorytety i sam się nieraz na autorytety powołuję, to jednak uważam, że najbardziej nawet autorytatywna teza może, a w pewnych wypadkach powinna, stać się przedmiotem rewizji.

Zkolei przechodzę do drugiej cechy sportu — współzawodnictwa. Pan Zabiełło żałuje, że nie widzę tej cechy w prawdziwem myślistwie, ja zaś wyrażę żal, że właśnie w tej materji chwiejność terminologji i pomieszanie pojęć występuje najjaskrawiej. Wolno poecie mówić o „współzawodnictwie ze sprytem, przebiegłością, szybkością i t. d. zwierza", natomiast przy rozważaniu fachowem charakterystycznych właściwości sportu i myślistwa wyraz „współzawodnictwo" można stosować tylko do współzawodnictwa c z ł o w i e k a z c z ł o w i e k i e m. Alpinista walczy z przyrodą, pokonując trudności terenu, niebezpieczeństwo lawin i przepaści, lecz współzawodniczy nie z przyrodą, lecz tylko z innym alpinistą. To samo — *mutatis mutandis* — można powiedzieć o szybkobiegaczu, o footbaliście, o wioślarzu, o pływaku i t. d. Nie stoi to naturalnie na przeszkodzie, by poeta wyraził się w sposób kwiecisty, że np. alpinista współzawodniczy z potęgą gór i t. p. Jako jaskrawą cechę sportu wysunąłem współzawodnictwo jednostek, grup jednostek i wreszcie narodów — turniej, mający na celu osiągnięcie pewnej najwyższej doskonałości fizycznej, która zwycięzcę wyniesie nie ponad przyrodę martwą lub żywą, lecz ponad innych zawodników. Takiego współzawodnictwa niema w myślistwie! I myli się zresztą p. Zabiełło, sądząc, że na łowach, choćby najbardziej szlachetnych, odbywają się „zawody" myśliwego ze zwierzem. Myśliwy tropi, ściga, uśmierca — zwierz ucieka, broni się, czasem atakuje, czasem nawet też uśmierca... Słyszałem o wypadku gdy postrzelony głuszec, uciekający „na piechotę" i przyparty przez myśliwca do wysokiego wykrotu, zrozumiał rozpaczliwość swej sytuacji i, zamiast dać się potulnie złapać i dobić, zaatakował z furją prześladowcę dziobem i skrzydłami!... Wolno, powtarzam, używać poetyckiej metafory o „współzawodnictwie" człowieka ze zwierzem... Jednak, gdy głębiej wnikniemy w sens tej metafory, to nieraz zabrzmi ona groteskowo, może — ponuro...

*) Podkreślam dla uwypuklenia myśli mojej, iż nie przeczę, że sport i łowiectwo mogą mieć sporo wspólnych cech wtórnych, drugorzędnych, n i e i s t o t n y c h. *(Przyp. aut.)*



Część bibljoteki i gabinet prof. inż. A. Dyka, dyrektora Zakładu Łowiectwa i Ochrony Lasu Wyższej Szkoły Gosp. Wiejskiego w Brnie Morawskiem. (Do art. „Nauka łowiectwa w Czechosłowacji").
Fot. Dr. J. Lemarie.

Nie chcę, by czytelnicy sądzili, że pragnę lekceważyć sport, lub nawet kosztem sportu wywyższać łowiectwo. Obie te dziedziny są dla mnie równolegle ważne i potrzebne. Atoli obserwujemy inne zjawisko. Oto sport jest urzędowo wywyższony do poziomu pierwszorzędnego zagadnienia państwowo-społecznego, natomiast łowiectwo jest wciąż kopciuszkiem naszych państwowo-społecznych zainteresowań. I czy nie tu tkwi przyczyna zjawiska, że niektórzy z nas myśliwych wołają: nie lekceważcie łowiectwa, wszak jest ono — sportem, a więc narówni z innemi sportami zasługuje na względy i opiekę!...

*

Ja wolę oddać co cesarskie cesarzowi i powiedzieć: łowiectwo nie jest sportem, lecz jest samoistnym działem twórczości ludzkiej o dużej doniosłości państwowo-społecznej i dlatego narówni ze sportem wymaga należytej oceny i opieki.

Skutek będzie ten sam, a przynajmniej idea łowiectwa pozostanie czysta i samoistna, nie przystrojona w cudze piórka. Nic to, że np. dziś sportowiec ma zniżki kolejowe i wiele innych ulg, natomiast myśliwy nietylko ulg tych nie ma, lecz ponosi dużo niesprawiedliwych ciężarów. Walczmy o te ulgi dla łowiectwa, lecz jego pięknej i w ł a s n e j idei nie odstępujmy za miskę soczewicy—zniżek kolejowych...

*

W drugiej części swej repliki p. Zabiełło rzuca szereg pytań w kwestji ściśle już terminologicznej. Dlaczego wymagam, by łowiectwo było synonimem myślistwa? Dlaczego twierdzę, że p. Zabiełło i inni autorzy czynią łowiectwo czemś „nadrzędnem" nad

myślistwem? Dlaczego „zależy mi tak bardzo"(?) na ustaleniu, że łowiectwo i myślistwo są dziś synonimami? Dlaczego twierdzę, że narazie różniczkowanie tych dwóch synonimów jest czysto dowolne? Dlaczego wzbraniam (!) tego różniczkowania?

Odpowiem kolejno na postawione pytania. A więc po pierwsze jest rzeczą notorycznie znaną, bez potrzeby odsyłania zainteresowanych do słowników języka polskiego, że „łowiectwo" i „myślistwo" są — przynajmniej dziś jeszcze — synonimami. Rzecz prosta, mówię nietylko o mowie potocznej laików łowiectwa i nawet nie o mowie szarej braci myśliwskiej, lecz właśnie o języku „ogółu myśliwych piszących", co wyraźnie zaznaczyłem w poprzedniej mej rozprawie. Śledząc systematycznie całą prasę i literaturę łowiecką w Polsce od lat 10-iu, naliczyłem dotąd tylko 3-ch autorów pragnących wprowadzić omawianą różnicę terminologiczną. Rozmawiałem w tej kwestji z kilku innymi autorami i przekonałem się, że nie przyjęli tej różnicy, że są innego zdania, chociaż głosu jeszcze w tej sprawie publicznie nie zabierali. „Contra" różniczkowaniu „łowiectwa" i „myślistwa" wypowiedziałem się dotąd tylko ja jeren, lecz p. Zabiełło chyba nie twierdzi, że to miałoby się równać „przegłosowaniu" (trzech na jednego...): — dysputa na łamach prasy nie jest posiedzeniem i zresztą — „posiedzenie" nie zostało jeszcze zamknięte... Pan Zabiełło, że użyję Jego wyrazu — „lansuje" nadanie „myślistwu" i „łowiectwu" znaczeń odmiennych, ja zaś z tych lub innych względów przeciwko temu oponuję. Dyskusja trwa... A propos „posiedzeń" przypomniał mi się taki wypadek. Na pewnej konferencji prawodawczo-łowieckiej uchwalono większością głosów, że samica sarny ma się nazywać urzędowo „siuta". Kto wie — możeby ten niefortunny wyraz stał się oficjalnem mianem poczciwej kozy, gdyby nie wystąpił dr. Ziembicki ze zwięzłą i fachową rozprawką, w której dowiódł naukowo, że koza powinna pozostać kozą. „Siuty", o ile wiem, w porę zaniechano. Wspominam tu o tem naturalnie nie dlatego bym „siutę" chciał postawić na jednej płaszczyźnie z tem lub innem znaczeniem „łowiectwa" lub „myślistwa": chodzi mi wprost o ustalenie, że nawet urzędowe ciała, złożone z fachowców, mogą się mylić i że bywają omyłki, których odrobienie bywa trudne, czasem niemożliwe. A cóż jest gorszego, niż żal poniewczasie?

Po drugie — zaznaczyłem w poprzednim artykule, że, czytając prace pp. Zabiełły i inn., odniosłem wrażenie, iż pragnie nadać „łowiectwu" znaczenie nadrzędne nad „myślistwem". Równocześnie wyraźnie zastrzegłem się, że nie wiem, czy oddałem ściśle poglądy autorów. Sądzę, że takie zastrzeżenie jest jednoznaczne z przeproszeniem zgóry za możliwie opaczne zrozumienie cudzej myśli. Widzę jednak, że jeżeli myliłem się, to tylko połowicznie, gdyż z końcowych definicyj p. Zabiełły widać wyraźnie, że „łowiectwo" jeżeli nie jest u Niego „nadrzędne" nad myślistwem, to w każdym razie jest „szersze" od myślistwa.

Po trzecie — „zależy mi tak bardzo" na ustaleniu, że łowiectwo i myślistwo są synonimami z dwóch względów. Pierwszy wzgląd wypływa z głębokiego przekonania, że korzyści, które ma przynieść kulturze łowieckiej zróżniczkowanie „łowiectwa" i „myślistwa" są iluzoryczne. O tem zresztą pomówię jeszcze niżej. Drugi wzgląd podyktowany został bardzo prostem pytaniem, które się we mnie zbudziło mimowoli. Dlaczego „łowiectwu" właśnie nadać mamy znaczenie szersze i idealniejsze, a nie „myślistwu"? Dlaczego wyraz, który ma za źródłosłów „łów", „łowić", „łowiec", ma mieć to idealniejsze znaczenie, nie zaś wyraz, którego źródłosłów „myśl" i „myśleć" rzuca się poprostu w oczy i do głębokich zastanowień zaprasza? Ktoś mi powie, że „myślistwo" pochodzi poprostu od „myśliwy"... Zgoda, lecz ja spytam zkolei: od jakiego słowa „myśliwy" pochodzi? Skąd to dziwne, niepokojące słowo, które wedle Weyssenhoffa kojarzy się nieodparcie w umyśle maluczkich z wyrazem „myśl"?... Warto, doprawdy warto poważnie się zastanowić, któremu z tych dwóch wyrazów mamy oddać pierwszeństwo, jeśli już koniecznie mamy „pokłócić" dwa synonimy.

Po czwarte — p. Zabiełłę uraziło użycie przezemnie wyrazu „dowolność" dla określenia Jego prób neologicznych. Sądzę, że z użycia tego wyrazu wytłomaczyłem się już w odpowiedzi na pierwsze pytanie. Tu dodam tylko, co myślę wogóle o neologizmach, bądź nowoukutych (np. „przebój"), bądź przerobionych ze starego wyrazu (jak w naszym wypadku). Nie jestem zdania, aby trzeba było koniecznie wielu lat, aż się wyraz świeży „jak figa ucukruje, jak tytoń uleży". Nie jestem tak wymagający. Wystarczy aż przeniknie ten wyraz w psychikę ogółu pisarzy, „aż się utrze przez stałe lansowanie go przez innych autorów" (słowa p. Zabiełły). Póki to nie nastąpi, istnieje dowolność... Musi wszak być jakieś kryterjum przy używaniu wyrazów?

Po piąte... Nie „wzbraniam" nikomu używania tych lub innych wyrazów w tem lub innem znaczeniu. Nawoływałem tylko i nawołuję do większej ścisłości terminologicznej, która leży w interesie autorów i czytelników.

Pan Zabiełło, pytając mnie dlaczego oponuję przeciwko różniczkowaniu „myślistwa" i „łowiectwa" dotknął sprawy nieco drażliwej. Zdaniem Jego dobro kultury łowieckiej wymaga gradacji różnych pojęć łowieckich, gdyż tą drogą trafimy do umysłów współtowarzyszy, a przez umysły — do serc. Wynikałoby z Jego wywodów: On tę gradację przeprowadza, On szuka dróg do serc myśliwskich, a ja, „bojownik pióra o powszechną kulturę myśliwych", przeszkadzam Mu w pracy, utrudniam dotarcie do serc braci myśliwskiej... Ciężki zarzut! Gdybym choć w setnej części przyznał się do tego zarzutu, już pióro samo wypadłoby mi z ręki. Na szczęście jestem zdania, że p. Zabiełło się myli. Jeśli spojrzymy prawdzie w oczy, to stwierdzimy z bólem, że mimo pewnych postępów, jakie uczyniła kultura łowiecka w ciągu ostatnich lat kilkunastu, — jest jeszcze bardzo źle. Na nizinach t. j. w szarych szeregach naszej armji myśliwych panuje zdziczenie i ciemnota. Nie neguję potrzeby pewnej gradacji pojęć myśliwskich, lecz — nie o gradację tu chodzi! Czy będziemy mieli trzy pojęcia („łowiectwa", „myślistwo", „polowanie"), czy dwa („łowiectwo" vel „myślistwo" i „polowanie"), czy tylko jedno („polowanie") — nie wyrazami przeorzemy zachwaszczoną niwę łowiecką! Odwrotnie: — sądzę, że im większą ilością pojęć będziemy operowali, tem trudniejsze zadania leżeć będą przed naszą pracą propagandową. W regjonalnej gwarze białoruskiej istnieje oryginalny wyraz „polowniczy" t. j. myśliwy. Niech że dla Białorusina będzie tylko istniał wyraz „polownictwo", byle się ono odbywało w terminach przez prawo przepisanych i sposobami zgodnemi z tem prawem, byle istniało jakieś minimum ochrony zwierzyny i jakiś zalążek jej hodowli, no i jakaś iskierka etyki łowieckiej.

W obecnym stanie kultury łowieckiej zbyt subtelna „gradacja" wyrazów przypomina mi owe słynne budowle potiomkinowskie, miasta — dekoracje, za któremi była pustka i nędza *).

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

---

*) Panu Zabielle nie podobał się użyty przezemnie neologizm „wyrazownictwo" (terminologja). Nie chcąc zmieniać dyskusji łowieckiej w dyskusję lingwistyczną, podkreślam tylko, że nie ja jestem autorem tego nowotworu, niemającego zresztą nic wspólnego z terminologją fachowo-łowiecką, i że go w niniejszym artykule świadomie ani razu nie użyłem.

(Przyp. aut.).

SERCE MATKI.

Jest jeden dzień w roku — ostatnia niedziela maja — poświęcony dla uczczenia i złożenia hołdu najmocniejszej i nieznającej granic poświęcenia miłości. Jest to piękny dzień — dzień święta Matki.

W tym dniu robimy rachunek sumienia, aby przekonać się, czy kiedykolwiek nie zlekceważyliśmy ogromu tej miłości i czy postępowaliśmy zawsze tak, jak na to zasługiwała. I jeśli znajdziemy jakiekolwiek uchybienia, winniśmy niezwłocznie je naprawić, dopóki nie jest jeszcze na to zapóźno. Bowiem — nie może być straszniejszej i boleśniejszej świadomości ponad tę, kiedy zobaczymy, że ta wielka miłość przestała już dla nas promieniować na zawsze. Wówczas pozostaje tylko spóźniony żal i łzy...

W tym dniu znikają przekonania polityczne, znikają różnice klasowe i stopnie rozwoju umysłowego, pozostaje tylko jedna wielka rzecz: Serce Matki.

W tym samym dniu wybiegam zawsze myślą dalej, ku tym niezliczonym rzeszom skrzydlatych i czworonożnych istot. Myślę i robię także rachunek sumienia. Uprzytamniam sobie chwile wspólnie spędzone i szukam postępków, w których mógłbym niebacznie, czy świadomie zranić serce matki.

Bowiem — słowo Matka i ogrom miłości, i poświęcenia Jej serca są w swej wielkości wszędzie jednakowe.

Wystarczy być matką, aby z jednakową siłą odczuć ból, pochodzący z krzywdy jej dzieciom wyrządzonej, — i dlatego odebranie suce szczeniąt, wybranie z gniazda jaj lub piskląt, zabicie starki w chwili, kiedy świadomie poświęca się ona dla uratowania swych dzieci, — to są wszystko wielkie krzywdy, wyrządzone Sercu Matki.

Może te skrzydlate i czworonożne istoty w mniejszym stopniu ten ból odczuwają? Może nie są zdolne do tej najwyższej granicy poświęcenia i miłości?

Jeśliby ktoś, nieinteresujący się życiem tych istot, zadał podobne pytania, jakże łatwo byłoby przekonać go, że ich miłość jest tak wielka i zdolna do takich poświęceń, że w większości wypadków daje z siebie to, co ma najdroższego — daje życie.

Któż z nas nie wie z własnych obserwacyj, lub książek, o sukach, zdychających po zabraniu szczeniąt; o bocianach, rzucających się w żar płonącej chaty i ginących razem z małemi na gnieździe; o niedźwiedzicach, idących za swem małem na pewną śmierć; o rysiach, pozostających przy dzieciach w skrawku lasu, otoczonym fladrami; o kaczkach, powracających do młodych i ginących od strzału...

Wystarczy raz jeden zaobserwować zachowanie się najdrobniejszego ptaszka w obliczu niebezpieczeństwa, grożącego jego pisklętom, zobaczyć jak broni je przed niem. Czyni to w sposób prosty i naiwny, ale właśnie dzięki tej prostocie wznosi się na szczyty poświęcenia i bohaterstwa.

Całą grozę niebezpieczeństwa przyjmuje na siebie. Udaje kalekę, powłóczy skrzydełkiem po ziemi, pada, żałosnym piskiem stara się zwrócić na siebie całą uwagę prześladowcy, pozwala mu zbliżyć się na odległość kroku, ucieka — i w ten sposób odprowadza go od gniazda. Czasami udaje się mu to, częściej—ginie!

Widziałem kuropatwę, która z rozpuszczonemi skrzydłami i groźnym krzykiem rzucała się na psa, podczas gdy młode przebiegały wykoszony kawałek łąki i chowały się w wysokiej trawie.

Miałem sukę, która wyciągnęła z płynącej obok domu rzeczki parę martwych już szczeniąt, gdzieś w górze do wody rzuconych, i przyniosła je do swego legowiska. Tuliła je do siebie, chcąc ciepłem swego ciała wrócić im życie.

Widziałem głuszycę, która podeszła do mnie na odległość dwóch kroków, pomimo że przy mnie znajdował się pies. Podeszła na głos swego pisklęcia, które trzymałem w ręku. Kiedy położyłem pisklę na ziemi, w jednej chwili była już przy niem.

Takich i podobnych przykładów mógłbym przytoczyć wiele. Wiem, że mógłby to zrobić każdy, kto choć trochę interesował się życiem tych istot.

Są to wszystko rzeczy wielkie, godne najwyższej uwagi. Niestety, są one tak często zapominane i lekceważone; często nawet nie przez złość, lecz poprostu przez zapomnienie i brak zastanowienia. A zapominać o tem nie wolno. Szczególnie tym, którzy często obcują z przyrodą.



Po tropie. Fot. W. Pucholski.
Z serji, odznaczonej złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego" 1933 r.

Zbliża się sezon polowań *). Zaroją się pola ludźmi, zahuczą strzały. I właśnie w gorączce tych strzałów tak często zapomina się o wszystkiem.

Widziałem myśliwego, który młodą kaczkę, złapaną rękoma, ukręciwszy jej głowę, spokojnie włożył do siatki; widziałem i takiego, który zabił uciekającą przed psem na piechotę po łące cyrankę...

Nie wiem, czy ten myśliwy pomyślał nad tem, że ona d a ł a mu się zabić, aby ratować swoje dzieci, ukryte w trawie?

Prawa ustanowione przez człowieka niezawsze są zgodne z prawami przyrody. Jakże często w rozpoczętym już sezonie spotykamy zupełnie jeszcze niewyrośnięte kaczki, kuropatwy, cietrzewie i inne, a przy nich starki, bohatersko idące na śmierć w obronie swych dzieci. Oszczędzajmy je, nie pocieszajmy się, że młode „same wyrosną". Może i wyrosną, ale tu chodzi także i o coś innego, chodzi o — Serce.

Na serce można odpowiedzieć tylko sercem, a myśliwy, który go nie posiada, nie będzie nigdy myśliwym, będzie tylko strzelcem.

Nawet w tych wypadkach, kiedy zachodzi konieczność niszczenia gniazd ptaków szkodliwych, można uniknąć znęcania się nad uczuciem przez uprzednie zabicie matki. Będzie to dla niej lepsze, niż ból, jaki musi przeżyć, patrząc na śmierć dzieci.

Bowiem — jeszcze raz powtarzam — słowo Matka, ogrom miłości i poświęcenia Jej serca powinny być w swej wielkości dla nas zawsze jednakowe

JAN SŁUPSKI.

---

*) Artykuł ten został nam łaskawie udzielony przez p. J Dylewskiego, z teki dodatku łowieckiego w „Polsce Zbrojnej", który z niewyłłomaczonych bliżej przyczyn przestał się ukazywać. *(Przyp. red.)*.

NA PRZESMYKU.

Upalny dzień wrześniowy miał się ku końcowi. Jesienne słońce, niezamglone wieczornemi mgłami, staczało się na skraj horyzontu. Jeszcze było lato, aczkolwiek wszędzie czuło się i widziało zbliżającą się jesień. Drzewa liściaste były temi wskaźnikami, które pierwsze reagowały zmianą barwy ulistnienia na nadchodzącą porę roku. Przejrzystość i czystość rozsłonecznionego zachodu zwiastowały chłodniejszą noc. Wraz z powstającym mrokiem budził się w leśnych głębinach zwierz wszelki, który woli unikać światła i żyjących przy świetle dziennem ludzi. Wie jeleń, dzik, lis, a nawet zając, że ciemności sprzyjają ukrywaniu się, maskują jego ruchy, wychodzi więc wówczas z gąszczów leśnych na bardziej otwarte przestrzenie, kiedy pozostają jeszcze resztki światła dziennego, aby oczy jego mogły chwycić choć trochę przestrzeni.

Są jednak okresy w życiu leśnych mieszkańców, zwłaszcza jeleni, kiedy znacznie wcześniej, niż zazwyczaj, wychodzą z ukrytych w gąszczach stanowisk i legowisk, są okresy, kiedy podrywa je żądza spotkania płci odmiennej, żądza poddania się u płci słabszej, a chęć posiadania u płci mocniejszej. Lecz nim ten moment nadejdzie, oddzielnemi chmarami chodzą łanie, a znów gdzieindziej grupują się i naradzają rogale, jakby pragnęły wyznaczyć sobie miejsca, gdzie który z nich i jaki obwód ma objąć w posiadanie. Młodzież też trzyma się oddzielnie, igrając i swawoląc, a młode jelonki „fechtują się" przytem dla wprawy.

W tym okresie, w drugiej połowie września zaczyna coś ponosić i niepokoić cały ród jeleni. Więcej też potrzebują paszy, ruszają więc z dziennych stanowisk wcześniej. Czasem na dwie godziny przed zachodem słońca widać to tu, to tam przemykające pojedyńcze sztuki, lub małe gromadki, zapominające o niebezpieczeństwie, o człowieku, który je w tym czasie zaczyna obserwować.

Nadchodzą wielkie święta w jelenim rodzie. Okres rui, do którego tęsknią byki, o którym marzą i do którego drżą łanie. Okres walk, niepokojów, zmagań i uciech miłosnych. Nadchodzi i dla myśliwych okres rykowiska, a więc najwyższa z rozkoszy, jakie dają polowania, a zarazem okres szukania, tropienia i czuwania.

Na wydłużonej leśnej łączce stoi jeden z takich myśliwych obserwatorów, stoi oparty, jakby przypłaszczony do pnia dębu, wyrastającego na małym wzgórku, a otoczonego niższą, lecz dość gęstą roślinnością. Wszył się on tutaj w głąb puszczy, zachowując wszelką ostrożność, aby nie być widzianym, słyszanym i zwietrzonym. Wdarł się, by obserwować, co się dzieje wśród jeleniego społeczeństwa, bo już czas, bo już lada dzień powinny odezwać się byki. Sztucer oparł o drzewo, a sam z wielką ostrożnością podnosi lornetkę do oczu, aby zlustrować to łąkę, rzuconą wśród zwartych ścian zagajnika, to odległe wzgórza, to pobrzeża gęstwiny. Dotarł aż tutaj, do znanego sobie z poprzednich lat przesmyku, który kończył się w jednej ścianie gąszczu, a przechodząc następnie przez otwartą łąkę, pośrodku której było bagnisko, wchodził w drugą ścianę gąszczarów, wśród których znajdowała się specjalna łąka, obsiana dla jeleni słodką trawą i wysadzona ulubionemi przez nie heliantusami i topinamburami. Nie ludzie tę ścianę wydeptali, lecz jelenie, nie przez człowieka zostały poobcierane i połamane nawet dość wysoko gałęzie, ale przez wieńce przesuwających się rogali.

Myśliwy-obserwator czuwa, wie, że tutaj coś go dziś spotka, że tu, nad wodą, jelenie zatrzymują się przez dłuższą chwilę. Widzi na czarnem, bagnistem obrzeżu otwartej wody liczne ślady jelenich racic, a u wylotu przesmyku mocniej stratowaną łąkę. Tu nie dochodzi bydło, zrobić to mógł tylko płowy zwierz. Myśliwy zamienił się w słuch, wie bowiem, że pierwsze zwiastuny zbliżającej się zwierzyny to szmery. Umieścił się w stosunku do kierunku wiatru tak, ażeby idąca przesmykiem zwierzyna nie zwietrzyła go.

Jeszcze słońce wisiało nad zagajnikami, kiedy naraz drgnął. Z prawej strony na przesmyku usłyszał niezbyt daleko wyraźny trzask ocieranych o gałęzie rogów. Coś zbliża się wzdłuż wekslu—pomyślał. Po paru minutach usłyszał również z tyłu za sobą charakterystyczny chrzęst przeciskającej się przez zwarte sosenki sztuki. Bał poruszyć się, by nie być zauważonym przez idącego wzdłuż przesmyku jelenia, z lękiem myślał, że sztuka, która nie z przesmyku, lecz poza nim wyszła na łąkę, przetnie jego trop i zwietrzy go, a przez to zmarnuje cały jego dzisiejszy zachód. Z szelestu, jaki go doszedł, był pewny, że tam z tyłu wyszła łania, nie jeleń. Jakoż po chwili usłyszał ciche, ledwie dosłyszalne stąpanie po łączce i wreszcie kącikiem oka zauważył przesuwającą się na brzegu gęstwiny starą łanię. Jednocześnie przed nim na obserwowanym przesmyku potęgują się szmery i trzaski, raz-wraz zachrzęści obtarte drzewo, to znów trzaśnie pod racicą złamana gałązka. Dudni ziemia. Zbliżają się jelenie. Idą do wody, a potem na paszę, na ulubione przysmaki.

Czyżby już zebrała się chmara? — myśli zaczajony pod dębem obserwator. Nie widział jeszcze śladów mocnego byka i łań w jednem towarzystwie, nie słyszał jeszcze wczoraj w nocy ryku jelenia. Może to młodzież, lub same łanie? Nie, przeciw temu przemawiają ciężkie dudnienia, powolne posuwanie się a szczególnie zbyt głośny i częsty trzask ocieranych o krążki rogów. Naraz u wylotu jeleniego szlaku zaznaczył się jakiś dziwny cień, zielone sosenki, otaczające ścieżkę jakgdyby zgęstniały naraz w jednym punkcie. Ostrożnym, powściągliwym ruchem, posuwając w ciągu sekundy nie więcej, jak o jeden lub dwa centymetry, skierował myśliwy szkła na ten bliski punkt. Tak, wzrok nie myli: tam przed wylotem przesmyku stoi jedna sztuka, a za nią druga i bodaj trzecia, bo dalej jeszcze coś ciemnieje. Chwila ciszy i oczekiwania... Ile w takim momencieześrodkowuje się wrażeń i nadziei! Oczekujący myśliwy przejęty jest tem do głębi, aby dopatrzeć się i wiedzieć, kto zacz jest przed nim. Łania, idąca brzegiem zagaju, mija powoli wylot przesmyku, jakby dawała znak, że dalsza droga jest wolna. Wydłużona szyja, odstające uszy i rzadkawa sierść wskazują na poważny wiek tej sztuki. Należy się jej już kula — myśli obserwator— chodzi ta chuda starucha bez młodych już parę lat, ale w czasie odstrzału łań jest ostrożna, wie wszystko, zaszywa się w największe gąszcze i miesiącami całemi jest niewidoczna. Teraz idzie zwolna, krok za krokiem, rozglądając się ciągle, jak wywiadowca i wietrząc mija wylot przesmyku. Patrząc porozumiewawczo w stronę gąszczu, przechodzi jeszcze ze dwadzieścia kroków i następnie staje, lustruje długo i uważnie łąkę na wszystkie strony, wreszcie okrąża bagnisko i, stanąwszy nad otwartą wodą, pociąga spokojnie kilka haustów. Nasyciwszy pragnienie, idzie dalej naprzód, aby zniknąć w dalszych skrętach przesmyku, wdzierającego się za łączką w nowe gąszcze. Ta stara łania to awangarda stada byków. Ona pierwsza wychodzi na otwarte miejsca. Dziś, przy pełnem świetle, nie jest względem siebie tak ostrożna ta stara matka rodu, jak zazwyczaj, choć nie dopisuje jej wzrok i choć słuch ma przytłumiony. Nieproszona, a nawet odpędzana, trwa jednak na stanowisku, jako straż przednia. Lecz stara łania wie dlaczego to robi, ona wszystko rozumie. Tam wzdłuż przesmyku stoi cała przyszłość puszczy, zgromadził się dziś zespół najlepszych byków, aby otrąbić rozpoczęcie rykowiska.

Młodsze od niej, w sile wieku łanie zbierają gromadki koleżanek i młódek, i każdą z nich poprowadzi, jako przewodniczka, do upatrzonego, lub wybranego towarzysza. Ona sama już nie będzie szukać uciech miłosnych w chmarze. Zadania starej łani są inne: iść zdaleka na straży i oznajmiać o niebezpieczeństwie. Czasem pozwoli poswawolić jakiemu młodzikowi, ale.. oni są tacy biedni, tacy spragnieni, a tak odpędzani i turbowani. Taki młodzik jest jej potrzebny i dla bezpieczeństwa: ma on lepszy słuch i wzrok, niż ona. Dziś jest ona w swojej głównej roli, gdyż wśród zebranych na przesmyku byków ma synów, których dobrze poznaje. Ten zgrabny dwunastak i ten niekoronowany dziesiątak to jej dzieci. Dziesiątak to jej ostatni. Jest też wśród tych byków jej mąż, którego chmarze przewodniczyła podczas trzech rykowisk i którego niejednokrotnie wyprowadziła z ciężkich opresyj. Teraz nie chce na nią nawet patrzeć, woli młodsze i tłuściejsze.



Jeleń karpacki. Rozpiętość wieńca 102 cm. Trofeum Wojewody Z. Jagodzińskiego.

Naraz poruszyło się coś, na przesmyku poprzez gęstwinę krzaków słychać ciężkie stąpania i wychodzi długi wąż silnych, zgrabnych i pewnych siebie zwierząt. Zawierzyły starej łani, która przeszła o trzydzieści kroków od przezornie ukrytego myśliwca i nie zwietrzyła go. Uwieńczone rogale idą jeden za drugim, zda się, że to drzewa wędrują, tyle tu odnóg, gałęzi i sęków. Każdy z nich dorodny, każdy niesie na głowie wspaniały wieniec, z wyjątkiem pierwszego, wstecznika, na którego łbie wyrastają pokraczne, zanikające rogi. Ten najstarszy wysunął się pierwszy, honorują go inne byki i najpierw do wodopoju go puszczają. Trochę ciągnie za sobą ten stary lewą zadnią nogę. To on trzymał tak długo cały rudel jeleni na przesmyku, zanim odważył się wyjść na otwartą łąkę. Nie dowierza on starej łani, był już dwa razy postrzelony, rozumie niebezpieczeństwo otwartych przestrzeni. Wie on, że, jeśli w takich niepewnych miejscach zawiedzie słuch, węch i wzrok, to nie zawiedzie czas czekania. Wie, że człowiek wcześniej czy później poruszy się lub chrząknie.

Lecz myśliwy, stojący pod dębem, nie drgnął przez cały czas piętnastominutowego oczekiwania. Nie sięga też ręką po stojący obok sztucer, kiedy wyłania się przed nim o sześćdziesiąt kroków krasa puszczy, szereg pięknie uwieńczonych jeleni. Cały ześrodkował się we wzroku, aż ścisnął zęby z wrażenia i patrzy... patrzy. Ocenia, taksuje i przypomina, którego z nich i gdzie widział. Pierwszy to raz ma takie widowisko, z taką ilością razem idących byków nie spotkał się nigdy. Cóż to dziś za parada, że zebrało się ich tutaj tyle? O, tak, tego pierwszego, starego „Abrahama" z wielką grzywą, zna dobrze, przed dwoma laty widział go i podchodził w czasie rykowiska; starzec był wtedy kapitalnym dwunastakiem i już kulał, dziś kuleje mniej, ale z pięknego wieńca, zredukował się na ósmaka. Puściłby mu z przyjemnością natychmiast kulę, ale strzelić teraz, w tym momencie, znaczy to rozpędzić z miejsca rykowiska całą gromadę byków, zbierających się tutaj na wstępne, przedweselne obrzędy czy narady. Niewarto zatem przez strzał do tego „dziada" niszczyć terenu godowego, bo jest wątpliwe, czy które ze spłoszonych, a tu obecnych zwierząt wróci kiedy w te okolice. Może spotka się jeszcze kiedyś z „Abrahamem" — zna jego chrypliwy bas. Stary idzie koło wody z lewej strony, gdy inne zmierzają za drugim z rzędu szesnastakiem z prawej. Trzeba, gdy odejdą, dobrze zapamiętać odcisk jego racic, oraz rozstawienie tylnych nóg, bo jego ślady muszą być odmienne od śladów innych rogali, skoro powłóczy nogą.

Ten drugi to już szesnastak, najpiękniejszy z pięknych. Symetryczne, popiątne, kielichowate korony zdobią jego głowę. To prawdziwy polski jeleń prastarej, czystej rasy. Pysk mu trochę zbielał od zeszłego roku, a nos wydaje się bardziej garbaty. Jakgdyby schudł od ubiegłego roku, gorsza tegoroczna pasza odbiła się na jego wyglądzie. Ile też w tym roku będzie miał łań, bo w zeszłym roku, jak mógł nasz obserwator skonstatować, z trzema tylko chodzić raczył. To reproduktor, tylko że oszczędny w stosunku do dam, nie lubi dużej chmary. Ten niech zostanie, bo jeszcze zyskał przez ostatni rok jedną — szesnastą — odnogę. Może jego wieniec na rok przyszły jeszcze się powiększy?

Za szesnastakiem ciągnie jakiś nowy przybysz, czternastak nieregularny, o ciemniejszej sierści, niż inne i niesymetrycznych koronach. Jakże podobny do zabitego przed dwoma laty wędrownego czternastaka! Z jednej widać pochodzą okolicy. To typ niepożądany tutaj, gdzie się robi wszystko, aby zachować prawdziwego, szlachetnego jelenia o symetrycznym wieńcu.

— A możeby tak dubletem? — rzuca mu wewnątrz jakiś głos.

— Nie, tego robić nie wypada. Dublet do jeleni w czasie rykowiska to szoking. Jestem w lesie, nie w rzeźni, czy w kotle zimowym na zające — odpowiada sam sobie. Ale ten czternastak to typ niepożądany, ma schodki w koronie — musi ledz — mieszaniec. Należy więc do odstrzału wraz ze starym „Abrahamem".

Za ciemnym czternastakiem wysuwa się jaśniejszy w kolorze sierści dziesiątak. Wysoki, wysmukły, o grubych, ciemnobronzowych, a niezbyt długich tykach i prawidłowych, potrójnych koronach. Ten się mało zmienił, tylko, że zdobył drugą koronę na lewej tyce. To „zapiewała", czy organista, byk, który ciągle gdzieś w gąszczach ryczy, jakgdyby jelenie chóry prowadził. Jest on wokalną ozdobą rykowiska. Zna go już od dwóch lat, jako silnego jelenia, ale z tym można poczekać, to wierny jeleń miejscowy, trzymający się stale tych samych miejsc. Ten wielu już odnóg nie dostanie, ale dwunastakiem może jeszcze być. Za tym dziesiątakiem wysuwa się młody, o cienkich, lecz długich tykach dwunastak. W ruchach pełno gracji, róg czarny, końce odnóg białe — błyszczą niczem świeczki na choince, w wigilijną noc. Widać w nim rycerza, który będzie staczał boje, żadnemu nie ustąpi. I dziś widać boczy się i z podełba spogląda na krępego czternastaka. Wielki amator płci pięknej, w roku ubiegłym dobrał sobie aż dwanaście „panienek", lecz rozgromił go jakiś stary, podgórski włóczęga, zabrał mu trzy najkraśniejsze i poszedł z niemi skąd przyszedł, a on tylko dlatego utrzymał się przy reszcie, że przodownica jego została mu wierną i pozostałe łanie w ryzach przez dobę w pobliżu trzymała, aż on po tej walce, w ciągu doby leżąc w bagnie, wyział z siebie zmęczenie i złość. Widział tę walkę myśliwy i chciał sprzątnąć nieznanego, podgórskiego przybysza, ale wszystko to toczyło się na otwartych wzgórzach i zbyt było interesujące, a szybkie, aby można było się wtrącić. Za dwunastakiem, podobny do tamtego, jak dwie krople wody, tylko słabszy jeszcze w wieńcu, idzie dziesiątak bez koron, również

o czarnym rogu z białemi końcami. Te dwa młode jelenie należy oszczędzać: dziesiątak w tym roku pewnie po raz pierwszy będzie chodził z łaniami, bo w roku ubiegłym „kibicował" dopiero. Jest to materjał na przyszłe szesnastaki, a może i dalej. To samo gniazdo, co drugi z rzędu szesnastak; może który z nich jest nawet synem, czy bratem tamtego.

Za temi dwoma — znów nieregularny dwunastak. Brzydal — pomyślał, krzywiąc się, obserwator-myśliwy — róg szaro-biały, cienki, na jednej tyce sześć odnóg, na drugiej zaledwie cztery. Tego należy odstrzelić. Ach, żeby można odnotować jakiś szczegół jego racic, ale nie... idzie razem z innemi, odcyfrowanie będzie trudne. Tego rogala myśliwy widział przelotnie rok temu, gdy chodził za szesnastakiem na „bejhirsza". Wygląda słabo, niepokaźnie, może bez łań będzie chodził, albo znów kibicował. Tak, ten także do odstrzału należy.

Oczy myśliwego biegają od jelenia do jelenia, ocenia długość tyk, na odległość mierzy rozpiętość, porównuje ze zdobytemi uprzednio w tym rewirze wieńcami. Szesnastak i czternastak to już kapitalne byki. Patrzy uważnie na dwunastaka o szarych rogach i waży ostateczny wyrok na niego. Lecz naraz spostrzega nasz obserwator, że na brzegu gęstwiny, u wylotu przesmyku, stanęła jeszcze jedna, nowa sztuka. Stoi jeleń w gąszczu i obserwuje, jakby obawiał się czegoś, pomimo tylu widocznych na łące i nad wodą byków. A może to jakiś niezdefinjowany zmysł mówi mu, że tutaj jest zaczajony gdzieś człowiek. Coż za ostrożność, czyżby to był on... on, niedościgniony?...

Gromadka jeleni, napiwszy się wody do syta, zażywa kąpieli; jedne sztuki tarzają się w błocie, inne wchodzą w wodą. Najmłodszy dziesiątak stanął po szyję w czystej wodzie, jakgdyby chciał ochłodzić gorączkę swego młodego ciała, rozpieranego przez żądzę. Stojący w gąszczu jeleń poruszył się i naraz wychylił do połowy. Tak, to on! — pomyślał myśliwy i nieznacznym ruchem ręki obejmuje sztucer, stojący przy drzewie. Lecz coś mówi mu: — nie! Nie przyszedł przecież dziś, aby strzelać, skoro rykowisko nierozpoczęte... ale on tego byka puścić nie może. Jedna, dwie, trzy... dziewięć, dziesięć — liczy odnogi. Byk majestatycznie kroczy przez łąkę, niosąc swój potężny wieniec. Przecież to sława tutejszych puszcz, niedoścignione marzenie wszystkich okolicznych myśliwych. Wszak to dwudziestak, którego zrzuty jako osiemnatsaka podziwiane były przez wielu myśliwych już przed dwoma laty. Od czterech lat widuje tego byka — jest nie do podejścia. Lewa ręka, trzymająca sztucer, coraz zbliża się ku prawej. Przed dwoma laty spudłował go na zbyt wielką metę, w roku zeszłym, idąc za jego tropem, widział go zaledwie przez jeden ułamek sekundy, lecz poznaje go dobrze: jakiż ma piękny wieniec, jaki rozłożysty! I, odejmując od oczu lornetkę, a opuszczając ją powolutku na pasku, bierze w prawą dłoń sztucer. Taki łatwy strzał, za łatwy — myśli — na takiego potężnego rogala, na takiego leśnego króla. Zawierzył on „Abrahamowi" i starej łani i jest teraz na otwartem miejscu, pośrodku łąki, w mocy broni myśliwego. Teraz go nie spudłuje. Ubić go to dzieło jednej sekundy, lecz co potem?...

...Bo przecież ruja jeszcze nierozpoczęta, gdy strzeli, to te wszystkie, podążające za starym wstecznikiem byki rozbiegną się po okolicznych lasach i rewirach, a on, myśliwy, zostanie sam w jelenim rewirze bez byków... lecz przecież z kapitalnym wieńcem.

Co warte więcej? — myśli — czy wspaniałe rogi tego byka, czy też kilka tygodni, spędzone tutaj, wśród znanych puszcz i jeleniego rodu, na rykowisku?

I jednak ta druga alternatywa przeważa. Prawa ręka, podnosząca sztucer do ramienia, opuszcza się ku dołowi. Obserwator — myśliwy waży jeszcze i rozważa. Taki wieniec to pierwsza nagroda na wystawach. On ma około 200 punktów, ten wieniec waży 8—9 kilo. A rogal stoi pośrodku łąki i patrzy na stary dąb, patrzy wprost na niego, poprzez gałęzie osłaniających myśliwca krzaków skrzyżowały się ich oczy. Jeleń jakby drgnął, lecz po chwili znów wyprostował się i dalej kroczy dumnie. Dziwny urok bije od postaci tego leśnego Apollina. Tyle jest gracji w każdym jego ruchu, jest majestat wielkości i pewność siły.

Strzelić w tej chwili przypadkowego spotkania wydaje się myśliwemu profanacją. Jeśli ten wieniec teraz zdobędzie, to czy będzie mu się chciało chodzić za dwunastakiem o białym rogu, czy nawet za samym „Abrahamem"? Strzelić — to koniec polowania, bo całe zainteresowanie rykowiskiem, całe napięcie w momencie strzału do tak bajecznego okazu, wyładuje się, jak elektryczność z akumulatora. Nie strzelić — to dalsze poszukiwanie i tropienie, poznanie i zaznajomienie się ze zwyczajami tego leśnego bractwa w czasie rykowiska. To gorączka pragnień i zawodów, to bezsenne noce i życie w puszczy, to upijanie się czarem rykowiska wśród ciemniejących wieczorów i rozjaśniających się świtów.

— Decyduj się, bo to ostatni czas — szepcze mu w ucho jakiś głos — jeleń jest już nad błotkiem, za chwilę zniknie, przecież sezon rozpoczął się już od tygodnia według kalendarza myśliwskiego... Tak, według kalendarza ludzkiego, lecz nie według jeleniego, bo byki jeszcze nie ryczą.

A on stanął nad wodą i nie pije, a patrzy znów na dąb, patrzy na niego, jakgdyby mówił: — Takiego jak ja króla należy zdobyć w godziwej walce, w pościgu, czy z zasadzki przeciw mnie skierowanej, w chytrem podwabianiu, które miałoby mnie w błąd wprowadzić, a nie teraz, kiedy idę na paszę, aby przed rykowiskiem pokrzepić siły tak potrzebne do walk i uciech, kiedy idę na łąkę, którą ty sam urządziłeś nam ze słodkiej trawy. I zniknął w gąszczu za innemi.

W umyśle obserwatora powstała refleksja. Jakże to, puścił bez strzału tego chytrusa, tego najkapitalniejszego? Przecież w roku zeszłym widział, że on miał tylko jedną łanię. Nie jest więc już reproduktorem, jak szesnastak lub „organista" — mówiło mu gospodarskie wyrachowanie. A może ta jedna łania to tylko przypadek?

— Czemże on jest u djabła, co on mi zadał, dlaczego ostatecznie nie strzeliłem? Jakgdyby w odpowiedzi na to pytanie usłyszał głos wewnętrzny:

— On jest koroną piękności tych puszcz, koroną niedoścignioną, do zdobycia której wiecznie dążyć warto, bo w samem już dążeniu jest najwyższa radość życia, jest entuzjazm poszukiwania, jest czar tropienia. On jest tem, czem jest zrobienie dwunastu dwunastek na tarczy, trzystu rzędowych punktów do rzutek.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Ciemno już było w gąszczach leśnych. Lecz myśliwiec nie opuszczał swego stanowiska. Postawił sztucer znów przy drzewie, szczelniej opiął się kurtą, gdyż robiło się coraz chłodniej. Rozstawił obok stojącą składaną laskę i usiadł na niej. Pociągnął dla rozgrzewki herbaty z rumem z przytroczonego termosa i poił się czarem leśnej, wieczornej ciszy, urokiem zapadającego mroku.

Wszystko ucichło. Zamilkły ostatnie szmery uderzających o gałęzie wieńców. Mgły wieczorne zaczęły się snuć nad wodą i łąką, niosąc w swych pyłkach zapach bagienny. Noc brała w posiadanie lasy, łąki i wody. Zdało się, że wszystko noc ta uśpi, utuli; że wraz z głębią ciemności nic już nie będzie mówić o życiu.

Poczuł coraz dotkliwsze zimno, które chłodziło rozpaloną od tylu wrażeń głowę. Opuściły go wszystkie świadomości, wszystkie sprawy gdzieś znikły, a pozostała tylko chęć czuwania. Pełen był jakiejś pewności, że to co zrobił — zrobił dobrze, że to nie dziś koniec tych uroczystości, których początek widział.

Wszystko pokryła dziwna jakaś szarość. Tylko woda błyszczała jeszcze głęboką ciemnią naturalnego

szafiru. Chłód coraz więcej dawał się we znaki, zarzuconym szalikiem owinął więc szyję i włożył na ręce cieplejsze rękawiczki. Oparł się plecami o pień drzewa i jakby zrósł się z olbrzymem leśnym w jedną całość, jakgdyby i on był też konarem tego dębu, częścią tego starego boru. Zdało mu się, że wieki już tak trwa, w takim nastroju. Wyczuwał w sobie jakąś pradawną miłość do tych polskich puszcz, w których jak on polowali również w tych okresach jego ojcowie, dziadowie i pradziadowie, którzy pozostawili ze swych przeżyć pamiątki w postaci zdobytych wieńców i szabel dziczych. Wspomniał pradziada, który zginął na takiem polowaniu. Czuł się tutaj taką samą cząsteczką, jak przechodzący zwierz lub drzewo, pod którem siedział. I choć chłód dokuczał, nie myślał o powrocie. Postanowił czuwać.

Naraz drgnął. Gdzieś hen zdaleka z nieznanych mu rewirów doleciał go głos. Wsłuchał się w ten dźwięk, dobiegający z oddali, ledwie-ledwie dosłyszalny. Nie, nie mylił się. Gdzieś o kilometr przed nim, w kierunku, gdzie znikło stado jeleni, odezwał się niski, jakby niepewny bas „Abrahama". Po chwili stary zaciągnął już nieco donośniej. Ledwie ucichł, gdy znów bardziej na prawo zabrzmiał swym pięknym barytonem „organista", niedaleko, o pięćset kroków od myśliwca, na pastewniku zahuczał grzmot „niedoścignionego".

— Rykowisko się rozpoczęło — pomyślał z radością — jelenie z tej grupy rozchodzą się, teraz mam prawo do strzału, gdy jednego z tych, co sobie upatrzyłem, spotkam w pojedynkę. A więc dwudziestak, „Abraham", dwunastak białorogi i czternastak, ten — na ostatnim planie.

(Dok. nast.) INŻ. TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

SZARA KUROPATWA WĘDROWNA.

(Referat plk. Iwana Sokaczewa, generalnego sekretarza Narodowej Organizacji Myśliwych w Bułgarji p. n. „Sokoł", zgłoszony na obrady Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Warszawie).

Kuropatwa szara *(Perdrix cinerea)* uważaną jest między myśliwymi za ptaka osiadłego. Miejsca jej osiedlenia są bardzo rozległe i obejmują całą Europę, a na szczęście myśliwych kuropatwa ta spotykana jest nawet aż po granice stref polarnych półwyspu skandynawskiego i Rosji europejskiej.

Skromnych obyczajów i wymagań, nieczyniąca żadnej szkody w rolnictwie, dla zachowania swego bytu kuropatwa zadowalnia się niewielką ilością ziarna, pomiędzy którem znajduje się znaczny procent nasion, szkodliwych dla rozwoju naszych uprawnych roślin.

Kuropatwa szara cieszy się sympatją wszystkich myśliwych, budząc w nich żywe pożądanie na samo wspomnienie jej imienia, toteż jest przedmiotem szczególnej troski, mniej lub więcej rozwiniętej, w zależności od danego kraju. Ten silny i odporny ptak wzbudza wielkie nadzieje i pozwala przewidywać daleko idące możliwości w skojarzeniu z ulubionym sportem, jakim jest myślistwo.

Niema myśliwego, mniej lub więcej wykształconego, któryby pozostawał obojętny w stosunku do badań obyczajów i zwyczajów, a nawet wybiegów tego wspaniałego ptaka łownego naszych równin. Niema prawdziwego myśliwego, istotnie godnego swej nazwy, któryby nie posiadał na swych corocznych rozkładach przynajmniej kilku sztuk tego smacznego, delikatnego ptaka.

Kuropatwa szara jest tak pospolita i znana, że wydaje się nam zbytecznem rozwodzenie się na ten temat. W Bułgarji, jak długa i szeroka, spotykamy ją we wszystkich miejscach, pośród równin i wzgórz, często nawet znajdujemy ją w górach, gdzie współżyje z kuropatwą czerwoną *(Cacabis saxatilis)*, o której nie będziemy mówili, jako o dobrze nam również znanej.

Niniejszy szkic odnosić się będzie do takiej kuropatwy, której odrębności biologicznych nie mielibyśmy odwagi oznaczyć, troskę o to pozostawiając uczonym, lecz której obyczaje i zwyczaje odróżniają się od danych, posiadanych w tym względzie o kuropatwie szarej. Sprawozdanie nasze poświęcone będzie kuropatwie wędrownej.

Pragniemy przedstawić w tym przedmiocie pewne dane i wyjaśnienia na mocy obserwacyj, jakie udało się nam dokonać podczas szeregu lat, a które, jak się nam zdaje, mogą wzbudzić ogólne zainteresowanie, gdyż są dostatecznie ciekawe dla przyciągnięcia powszechnej uwagi.

Istnienie kuropatwy wędrownej stwierdzone jest naukowo. Dla wyjaśnienia tej sprawy pozwalamy sobie przytoczyć szereg cytat autorów, którzy zajmowali się tem zagadnieniem.

Najprzód zatrzymamy się przy Bremie. W dziele jego „Życie zwierząt" znajdujemy: „Rzadkie są ptaki, których życie jest zupełnie ustalone w wybranych przez nie miejscach, jak np. kuropatwa szara. Z doświadczenia wiadomo, że młode kuropatwy pozostają w miejscowości, gdzie przyszły na świat. Jeśli porzucają miejsce swego urodzenia, pozostaje ono na długo pustem i zasiedlane bywa przez kuropatwy z otaczających je okolic nadzwyczaj powoli".

„Bez względu na fakt powyższy, w północnych Niemczech prawie co roku spotykane są jesienią szare kuropatwy wędrujące. Brat M. Naumana np. napotkał pewnego razu stado kuropatw, liczące około 500 sztuk, które bądź w locie, bądź na nogach kierowały się na zachód, rozsypane na rozciągłości około stu metrów. Ktoś inny pisał mi, że widział w Poznańskiem stado kuropatw wędrownych, sięgające tysiąca sztuk. Niektórzy utrzymują, że wędrowne kuropatwy są mniejsze od osiadłych".

Nieco dalej Brem wyraża przypuszczenie, że te kuropatwy gniazdowały w bagnistych okolicach Francji; jako dowód cytuje ich mniejszą wielkość i ilość szesnastu lotek.

W bardzo starym numerze „Francuskiego Myśliwego" z datą 1895 r. zamieszczono: „Mała kuropatwa szara, która w stadach po 30, 40 lub 50 sztuk przelatuje u nas przy końcu sezonu około listopada, jest gościem, który przybywa do nas dziś niewiadomo skąd i który odlatuje jutro ku nieznanemu dotąd miejscu przeznaczenia. Mała kuropatwa, nazywana „Chamska" albo „Roquette", jest długości 24 cm. Przypomina bardzo szarą kuropatwę pospolitą, zwłaszcza jeśli chodzi o rozmieszczenie piór. Pomimo to wierzchnie części jej piór są koloru żółtego, ciemniejszego od piór kuropatwy szarej, od której różni się również blademi plamami żółtemi na wierzchniej części głowy, grzbietu i szyi. Miejsce podkowy odróżnia się kilkoma rudemi piórami na brzuchu. Czoło, gardło i policzki ma jasno żółte. Dziób jest nieco więcej wydłużony, niż u kuropatwy szarej i nie żółty, jak również i nogi oraz palce, których paznokcie są ciemne. Kuropatwa wędrowna lata wyżej i dalej od naszych zwykłych kuropatw, jest bardzo nieufną i bardzo trudno daje się podejść".

W pracy prof. H. Hołodkowskiego „Ptaki europejskie" o interesującem nas zagadnieniu znajdujemy

tylko następujące kilka słów: „Kuropatwa szara przebywa stale w miejscowościach przez siebie wybranych, w miejscach, gdzie młode przyszły na świat i pozostają nadal. Niekiedy spotyka się wielkie stada kuropatw wędrownych, opuszczających swe miejsca urodzenia, popchniętych przez nieznane przyczyny, przypuszczalnie jednak wskutek szeregu niesprzyjających okoliczności".

Nie sądzimy, aby powyższe odnosić się mogło do tych samych kuropatw, o których mówi stary autor z 1896 r. M. Engelhardt, który podaje, co następuje: „Na wschodzie Syberji, przed wielkiemi zimnami kuropatwy szare w wielkich stadach emigrują do południowych stepów, lecz z nastaniem wiosny powracają do miejsc porzuconych".

Możemy znaleźć w licznych przeglądach naukowych lub myśliwskich analogiczne wiadomości, lecz nie pozwalają one odpowiedzieć na kilka interesujących nas kwestyj, nietylko z punktu widzenia ścisłej wiedzy, lecz także z punktu widzenia praktyki podczas wykonywania myślistwa.

Nam, myśliwym bułgarskim, wydaje się, że szara kuropatwa wędrowna coraz bardziej stanowi zagadnienie, którego rozwiązanie jest niezmiernie interesujące.



Kladki przez mszar Fot. J. W. Kobylański.
(Do art. „Szpyrkówna, ja i radziwiłłowskie łosie").

Kraj nasz jest położony na jednej z głównych, emigracyjnych dróg ptaków, na drodze ku Morzu Czarnemu i obserwujemy zawsze w tym samym czasie i coraz wzrastające liczebnie zjawisko przelotu znacznej ilości tych kuropatw, które udają się na południe dwoma różnemi kierunkami. My, myśliwi bułgarscy, uważamy, że chodzi tu o zjawisko, usprawiedliwiające przypuszczenie o istnieniu specjalnej odmiany kuropatwy, która wędruje popychana przez te same przyczyny, jakie zmuszają inne ptaki do wykonywania ich wędrówek migracyjnych.

Możnaby też z innej strony przyjąć, że w życiu tych kuropatw występują pewne warunki specjalne, które nie były dotychczas dostatecznie zbadane i tak poznane, jak życie i obyczaje kuropatwy pospolitej; warunki specjalne, wywołujące nietylko zainteresowanie lokalne, lecz również międzynarodowe.

Przed naszkicowaniem i opisaniem naszych osobistych obserwacyj, niech będzie nam wolno w krótkości przytoczyć obserwacje, poczynione w Bułgarji w przeszłości, które zgadzają się z obserwacjami Brema i Hołodkowskiego.

Już w 1895 r. jeden z poważniejszych bułgarskich myśliwych, a równocześnie znakomity badacz przyrody, „ojciec organizacji łowieckiej", M. G. K. Chrisłowicz, pisał w związku z temi kuropatwami:

„Miałem trzy razy sposobność stwierdzenia przelotu stad małych kuropatw szarych i zawsze w miesiącu listopadzie".

„W 1883 r. na wysokości uprawnej równiny Belidi Hanu, w okolicy Sofji, stado kuropatw, liczące około czterdziestu sztuk, wzbiło się na około sześćdziesiąt metrów. Przeciw wszelkim prawidłom dałem dwa strzały w gromadę, jeden szóstką, a drugi czwórką, zabijając dwie kuropatwy. Stado poleciało dalej aż do zniknięcia z oczu, w kierunku Petrichu; szukałem go bezskutecznie".

„W ciągu 1884 r. w pobliżu Nowi-Hanu, spotkałem jeszcze jedno stado kuropatw o podobnem zachowaniu się; nie miałem możności zbliżenia się doń; spędziłem je, a one obrały kierunek na wzgórze Pobit-Kamiku, bez dania mi możności dojścia do strzału".

„Ostatnim razem w 1888 r., w Koniowicy (okolice Sofji), spędziłem stado tych samych kuropatw i udało mi się jedną ubić. Reszta skierowała się na Kuti-Baglar, gdzie zniknęły".

„Te trzy małe kuropatwy z Beledi-Hanu i Koniowicy odpowiadały w zupełności francuskiemu opisowi kuropatw wędrownych. Ciekawem jest stwierdzenie, że, podczas moich trzech spotkań z niemi, kierunek, obierany przez kuropatwy wędrowne, był zawsze na południe".

Po tych ogłoszonych, dość już dawnych spostrzeżeniach nic więcej nie było pisane w łowieckich dziełach bułgarskich. Nikt nie troszczył się o to więcej, jakgdyby takie przeloty przestały mieć miejsce i nie zdarzały się u nas więcej.

Nowe pojawienie się w Bułgarji kuropatw wędrownych było sygnalizowane przez kilka osób w okręgu wielkich lesistych obszarów, na południe od Warny, w 1924 r. Leśniczy Paweł Turuwerow obserwował pewnego dnia listopadowego zjawisko, które zwróciło jego uwagę, a o którem nie omieszkał mi donieść (byłem wówczas dyrektorem eksploatacji leśnej tego okręgu). W rozmaitych miejscach tego samego dnia, podczas przechodzenia przez dębowy las, spędzał duże stada kuropatw (do 50 — 60 sztuk), — rzecz, która dotychczas nie zdarzyła mu się nigdy. Spędzone kuropatwy leciały bardzo daleko. W tym samym czasie ogromna gromada kuropatw opadła na miasto Warnę, przyciągnięta jego światłami. Liczne egzemplarze zostały znalezione zabite przez porażenie drutami telegraficznemi, lub były schwytane żywe na ulicach i podwórkach. Interesującem jest zapoznanie się z opisem tego zjawiska, przez pewnego myśliwego z Aitos. Jego opowiadanie potwierdza analogiczne opisy spostrzeżeń, poczynionych dawniej:

„Jesienią 1924 r. mieliśmy sposobność zaobserwowania przelotów kuropatw; na schyłku dnia byłem na polowaniu na okolicznych szczytach Aitosu, gdzie zazwyczaj te ptaki się trzymały. Ledwo wysiadłem z pojazdu i przygotowywałem się jeszcze do polowania, ujrzałem mego psa w stójce. Podniosło się stado 40 do 50 sztuk kuropatw. Strzeliłem. Podczas dalszego polowania, nieco dalej nowa stójka psa i ku memu wielkiemu zdziwieniu poderwało się stado, zajmujące szerokość pola od 300 — 400 metrów, i o znacznej gęstości ptaków obok siebie. Była to prawdziwa chmura kuropatw, nie dziesiątki, ani setki, lecz tysiące. Nigdy w życiu nie widziałem tak olbrzymiej lości kuropatw w jednem miejscu. Potem jeszcze spędziłem inne stada o nieprzeliczonej ilości sztuk. Okazy przezemnie zabite są wyraźnie mniejsze, niż kuropatwy miejscowe, a kolor ich jest ciemniejszy. Tego samego wieczora oznaimiłem moim współtowarzyszom w Aitos o nieoczekiwanych przelotach kuropatw. Nazajutrz rano nawet kulawi i jednoocy udali się we wskazane przezemnie miejsca na polowanie. Lecz kuropatwy już odleciały niewiadomo dokąd".

Od tego roku (1924) wędrowne kuropatwy obserwowane są corocznie jesienią; przylatują z północy

w ilościach bardzo poważnych. Opisy, jak przytoczony wyżej, mogą być zastosowane do wielu miejscowości.

W 1931 r. podczas mglistego wieczoru listopadowego pojawiły się nieprzeliczone stada kuropatw, przelatujące przez Dunaj koło Ruszczuku i w jego okolicach. Tego samego dnia we wsi Sztraclewo (powiat Ruszczuk), myśliwy z Ruszczuku, dr. Doganow stwierdził wielki przelot kuropatw szarych, które się rozsiadły na dachach i w podwórkach. Ptaki były zupełnie wyczerpane i pozostawały tam kilka dni, aż do powrotu sił, poczem poleciały dalej, niewiadomo dokąd.

Prawie co roku o tej samej porze liczne stada odwiedzają wybrzeże w okolicy Warny.

Zaczynaliśmy wierzyć, że kuropatwa wędrowna trzyma się w stadach wybrzeża Morza Czarnego i obiera drogę migracyjną przepiórki.

Przypuszczenie to zostało ostatecznie zbite w roku 1933 zarówno na skutek moich osobistych obserwacyj, jak i przez inne sprawdzone fakty.

W ciągu listopada przebywałem na polowaniu na grubego zwierza w wysokopiennych lasach, położonych na wschód od Starej Planiny, gdzie poluję w tym sezonie od lat piętnastu i gdzie nigdy nie zdarzyło mi się widzieć kuropatw. Miejscowość zresztą nie jest odpowiednia dla ich egzystencji, gdyż są to olbrzymie lasy bukowo-dębowe, w których kuropatwy nie trzymają się.

Idąc leśną drogą, pies mój nagle zrobił stójkę. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu poderwało się stado kuropatw, które uleciało daleko wgłąb lasu i pomimo naszych poszukiwań nie mogliśmy go więcej odnaleźć. Nieco później tegoż dnia, na śladzie niewykończonej drogi, położonej pośrodku lasu, zobaczyliśmy w odległości około stu metrów biegnące przed nami duże stado kuropatw (60 do 70 sztuk), które długo ścigaliśmy, lecz nie osiągnęliśmy jego podrywu, ani możności zbliżenia się na odległość strzału. Po wystrzale, danym bez nadziei na dobry skutek, stado poderwało się i znikło w oddali, poczem nie mogliśmy go już odnaleźć.

W tym samym czasie z rozmaitych źródeł otrzymaliśmy wiadomości, zwiastujące niespodziewaną obecność na równinach wielkiej liczby kuropatw, bez możności ustalenia ich pochodzenia; wkrótce po zjawieniu się zniknęły. Wszystkie te wiadomości pochodziły z okręgów, sąsiadujących z Morzem Czarnem.

Na początku grudnia otrzymaliśmy wiadomość, że na szerokiej przestrzeni pomiędzy miastami Widinem i Orechowem, nad Dunajem, ma miejsce olbrzymi przelot kuropatw szarych, lecących z północy. Przelatując rzekę, wielkie ich ilości naleciały miasta i wsie w stanie zupełnego wyczerpania i znużenia. Kuropatwy te odznaczały się temi samemi właściwościami, jakie opisywali autorowie, którzy je obserwowali, a mianowicie, że przeloty ich odbywają się w olbrzymich stadach, że są one niezwykle ostrożne i nie pozwalają zbliżać się do siebie; że raz poderwane do lotu, czynią bardzo dalekie przeloty. Wszyscy, którzy, mieli sposobność obserwowania tych kuropatw, zgadzają się w stwierdzeniu, że są one mniejsze i „kawowego" odcienia, ciemniejszego od barwy innych kuropatw. Prowadząc obserwacje ich ruchów, doszliśmy, że zawsze kierują się one na południe, dosięgając aż gór Starej Planiny. Nie mogliśmy tylko ustalić, czy są w możności przekroczyć tę naturalną przeszkodę — góry, czy też cofają się na równinę Dunaju, aby tam przezimować.

We wszystkich wypadkach spędzano olbrzymie stada tych kuropatw w okolicach miast Wraca i Łukowit, na pierwszych zboczach gór Starej Planiny. Jeden z ptaków zabity został w okolicy miasta Wraca; został on przekazany dla studjów Królewskiemu Instytutowi Naukowemu w Sofji. Pierwsze wyniki badań tego instytutu ustaliły, że egzemplarz ten odpowiada w zupełności opisom kuropatw Europy środkowej, od których nasze miejscowe kuropatwy nieznacznie się różnią.

W konkluzji tego wszystkiego, co powiedziane jest wyżej, zostało bezsprzecznie ustalone, że w Bułgarji powtarza się w jesieni doroczne pojawianie się wielkiej ilości szarych kuropatw wędrownych, które kierują się z północy na południe bardzo szerokim pasem przelotu, obierając kurs Dunaj — Widin, aż do Ruszczuku. Ilości tych kuropatw są tak wielkie, że, wobec regularnego ich pojawiania się, niepodobna nie pragnąć prowadzić nad tem badań.

W rezultacie Organizacja Bułgarskich Myśliwych „Sokoł", przy pomocy i pod kierunkiem Królewskiego Instytutu Naukowego w Sofji, zdecydowała prowadzić z końcem sezonu 1934 r. szeroko zorganizowane próby doświadczalne badania kuropatw wędrownych.

Badanie to ma na celu rozstrzygnięcie pewnych zasadniczych zagadnień, które, jeśli nie są znaczenia ogólnego, posiadają conajmniej częściowe znaczenie o międzynarodowym charakterze łowieckim. Zagadnienia te są następujące:

1) Potrzebne jest rozważenie z punktu widzenia łowieckiego międzynarodowego, że życie i właściwości kuropatw wędrownych nie są całkowicie zbadane, mimo, że kuropatwy te stanowią zjawisko regularne, o szerokiem rozpięciu, w określonych okręgach i że bliższe zbadanie tej sprawy przynieść może cenne wnioski o charakterze wielkiej wagi, zarówno z punktu widzenia czerpania korzyści z polowania, jak również ogólno-łowieckiego.

Badanie tego zagadnienia musi odpowiadać na następujce pytania:

2) Skąd przybywa do nas ta kuropatwa i jakie jest miejsce jej gniazdowania?

3) Czy jest ona określoną, typową odmianą, różniącą się od pospolitej szarej kuropatwy?

4) Czy można nakreślić dokładny opis i wymienić specjalnie odrębne jej cechy zapomocą obserwacyj, zebranych do dzisiaj?

5) Czy można ustalić drogę, jaką przebywa kuropatwa wędrowna?

6) Czy można ustalić ostateczne granice, osiągane przez tego ptaka ku południowi?

7) Czy powraca ona do miejsca urodzenia i jaką drogą?

8) Czy pojedyncze okazy tych kuropatw pozostają w okręgach przez nie przebywanych, ażeby można je uważać, jako korzystny element dla poprawiania rasy zapomocą krzyżowania z miejscową kuropatwą, a w konsekwencji dla dopomagania rozmnoży tej zwierzyny wogóle?

9) Jakie są w tym wypadku sposoby opieki do zastosowania, ażeby zapewnić ochronę kuropatwy wędrownej?

Ażeby te badania odniosły sukces i mogły dać pożądane wyniki, koniecznem jest osiągnięcie powszechnej współpracy, — przedewszystkiem krajów, z których przypuszczamy, że przybywają do nas ci drogocenni goście. — co przedstawia się, jak następuje:

1) Zorganizowanie obserwacyj, dotyczących pojawiania się, pobytu i odlotu szarej kuropatwy wędrownej we wszystkich krajach. Centralizacja tych wiadomości. Proponujemy, aby ośrodkiem tych badań został Królewski Instytut Naukowy J. K. M. Borysa III, króla Bułgarji.

2) Obrączkowanie kuropatw w stosunku, określonym dla każdego kraju, co ustali instytut po zbadaniu podniesionego przez nas zagadnienia.

3) Apel, ażeby zbierano egzemplarze kuropatw wędrownych, bądź ubite, bądź żywe, które będą oddawane do zbadania różnym instytucjom naukowym w każdym kraju, przez który ptak ten przelatuje.

Przełożył z franc. W. Z.

SZPYRKÓWNA, JA I RADZIWIŁŁOWSKIE ŁOSIE.

Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie, jakie uczynił cuda na ziemi.
Psalm XLV.

...A jak to było — opowiem.

Siedzimy przy stoliku w zacisznem i nastrojowem mieszkanku znanej literatki i publicystki, Marji H. Szpyrkówny. Przy herbatce najwygodniej załatwia się sprawy o doniosłem znaczeniu życiowem...

— Panie pułkowniku — zagadnęła mnie głosem pełnym słodyczy rozmowna wielce gospodyni. — Chciałbym kiedyś zobaczyć serce prawdziwej puszczy, coś podobnego do Mickiewiczowskiej, przepastnej puszczy litewskiej. Pan, jako kawał myśliwego, powinien się głębiej nad tą sprawą zastanowić.

— Pani Marjo! Na rany Boga żywego! Kiedy Pani wreszcie przestanie mnie tytułować pułkownikiem. Stale powtarzam, że jestem kapitanem i szarży tej, w której od piętnastu lat się kocham, za nic nie zamienię. Błagam więc, niech mnie Pani nie prześladuje i zwolni od „pułkownika". Do rządzenia zupełnie się nie nadaję, o czem Pani dobitnie przekonać się mogła, widząc moją gospodarkę w trzypokojowem mieszkaniu, które z książkami myśliwskiemi i z rodziną zajmuję. Zaś co się tyczy puszczy, to mam wspaniałą myśl, nie wiem tylko czy pani ją zaakceptuje.

— Więc niech pan prędko odsłania tę tajemnicę, panie pułk...... — przepraszam — panie kapitanie, ciekawa jestem.

— Prawdziwą tajemną puszczę, niezbadane ostępy, uroczyska, ujrzeć można chyba tylko u księcia Karola Radziwiłła, ordynata dawidgródeckiego. Tam są odwieczne bagna i zarośla, wśród których żyje potentat puszcz litewskich — łoś. O łosiach pięknie pisze starsza koleżanka pani po piórze, M. Rodziewiczówna, w powieści „Lato leśnych ludzi": „Niezdarne, jakby z jakiegoś prabytu pozostałe stworzenia, jakby duchy boru, bóstwa pierwocin ziemi. Ciężkie, nieumierne łby; racice, jak ski, potężne kończyny".

— Ach! jakbym pragnęła zobaczyć tego olbrzyma. Czy to możliwe? Wybierałam się wprawdzie do zwierzyńca warszawskiego, by tam ujrzeć młodego łosia, lecz zanim się wybrałam, łoś ten przeniósł się do wieczności.

— Muszę panią poinformować, że zwierzę to było na wymarciu w chwili odzyskania niepodległego bytu Polski. W puszczach radziwiłłowskich plątało się wówczas zaledwie kilka łosi: wystraszone sztuki— niedobitki. Otoczył je czułą opieką książę Karol, prawdziwy człowiek leśny i zasłużony hodowca-myśliwy, u którego dzisiaj stan łosi wynosi około czterystu sztuk. Niejeden łoś powędrował stąd do okolicznych państwowych i prywatnych lasów i tam się też rozmnaża. Przed dwoma laty byłem gościem w tej puszczy oraz uczestnikiem niezwykłego polowania na łosie. Wiem, że książe Karol lubi się otaczać ludźmi nauki, zwrócę się więc doń z prośbą, czyby nie zechciał umożliwić pani, pani Marjo, obejrzenia cudów przyrody, jakiemi przepełniona jest jego olbrzymia puszcza, wynosząca niemal ćwierć miljona morgów przestrzeni.

— Sama się nie wybiorę, panie kapitanie. Czy nie mógłby się pan tak urządzić, aby mi towarzyszyć? Pan, jako koneser w łowiectwie, uprzyjemniłby mi niezmiernie całą podróż.

— Pani Marjo — odrzekłem, czyniąc w jej stronę niski ukłon. — Przed chwilą nazwała mnie pani „kawałkiem" myśliwego, a teraz raptem, gdy pragnienia pani ujrzenia puszczy poczynają się krystalizować, chce mnie pani mieć za cicerone.

— Tak, a nie inaczej — padła zdecydowana odpowiedź.

— Rozumiem — odrzekłem i zamilkłem, pełen wyniosłej dumy.

— Z tego, co mi pan o księciu naopowiadał, przypuszczam, że nas oboje zaprosi.

W kilka dni po wysłaniu listu poleconego do Mańkiewicz, otrzymałem następującą radosną odpowiedź: „Szanowny Panie Kapitanie. Na list Pański śpieszę Pana zawiadomić, że oczekuję P. Szpyrkównę i Pana. O przyjeździe proszę telegrafować. Ściskam dłoń serdecznie. Karol Radziwiłł".

Ustaliliśmy dzień i godzinę wyjazdu. Pociągiem nocnym jedziemy przez Kowel do Sarn. Po południu jesteśmy już w Horyniu, gdzie nas oczekuje wygodny ekwipaż. Raźno toczą się koła po poleskim piachu. Mijamy Stolin i niebawem wysiadamy przed pałacem w Mańkiewiczach, gdzie nas witają gościnni gospodarze. Zasiadamy wprost do śniadania, trochę gadugadu, wstajemy od stołu, bierzemy nasze manatki i już jesteśmy w aucie. Obok nas siada niebywale wesoły i elokwentny adwokat D., zaś za kierownicą sam książe Karol, a obok niego Poleszuk mechanik. Jedziemy w głęboką puszczę. Przed nami zgórą 30 kilometrów „drogi" wyboistej, wśród odwiecznych drzew i, jak się okazało, pełnej bajor. Bowiem w tym czasie, gdyśmy z Mańkiewicz wyjeżdżali, spadł w puszczy ulewny deszcz, o czem nic nie wiedzieliśmy, wybierając się fatalnie autem.

Radziwiłłowska maszyna pracuje wytrwale. Nasz sympatyczny i pełen humoru książęcy „autor" (jest to nowa nazwa szofera), bierze w sposób podziwu godny wszelkie wyboje, wertepy i kałuże, aż siedliśmy po osie, lecz nie w bagnie, a na polanie w piasku. Z ciężką biedą wydostajemy się z auta, obłożeni pakunkami. Pani Marja rozkoszuje się balsamicznem powietrzem i czarem puszczy, odmawiającej przedwieczorne pacierze. Wokół słychać kumanie żab. My „męczyźni" męczymy się. Odkopujemy tylne koła samochodu, pod którym pokazuje się woda. Puszczamy motor, lecz koła wirują w miejscu, wyrzucając fontannę błota na nas, mniej nadających się do takiej roboty. Raptem, jak z pod ziemi wyrosły, zjawia się z pomocą młody Poleszuk. Ciął dwa razy własną siekierą i wysoka sosna padła mu u stóp. Podkładamy polana pod koła, podnosimy tył wozu, motor rusza i ku ogólnej uciesze wybrnęliśmy z piachu. Jazda dalej. Mijamy liczne, lecz niestety zbyt częste kałuże. A tu wokół zwał chojarów, prastary las zadumany, w głębi nieznana tajnia i odmęty zdradliwego bagna, porośniętego haszczami trzcin, łozy i sitowia. Okolica cudna, jak czar. Zdjąłem czapkę przed tym majestatem Bożej przyrody.

O szyby auta bije rozcinana pędem woda z bajor. Nagle widzimy przed sobą naszą drogę leśną zalaną na wielkiej przestrzeni, jakby jezioro. Trzeba znać swój las dokładnie, aby tak po mistrzowsku jechać po zalanej wodą, wąskiej drożynie, jak to czynił książe ordynat. Auto pruje naprzód. Fale bryzgają, gdyż to już nie bajora, a istna rzeka. Nagle: stop. Motor zanurzony w wodzie — zaniemówił. Stanęliśmy w pośrodku wody. Książę nie traci humoru, mechanik wchodzi do wody i coś tam gmera koło motoru.

— Kapitanie — rzecze książę — aby się wam nie nudziło, przeczytajcie na głos „raport", jaki dziś otrzymałem z Chotomelskiego Nadleśnictwa.

Rozkładam pomięty papier i czytam: „W niedzielę dnia 5 sierpnia 1934 r. gajowi Szabat Józef i Mozol Andrzej, będąc w obchodzie, w uroczysku Kopane, usłyszeli strzał. Natychmiast udali się w kierunku strzału i w uroczysku Rohi, w oddziale 27, znaleźli ślady łosia, który krwawił. Za łosiem szły ślady dwóch kłusowników, którzy widocznie pierwsi spostrzegli gajowych i uciekli do granicy chłopskiej, a stamtąd na łąki. Raniony łoś przeszedł przez rzekę Wyłownicę

i poszedł w uroczysko Sworowo. Dalej iść za łosiem gajowi nie mogli, ponieważ zapadł wieczór. Ulewny deszcz z niedzieli na poniedziałek w nocy zalał ślady, tak że dalsze poszukiwania ranionego łosia oraz czatowanie na kłusowników nie dały wyniku. W poniedziałek 6 sierpnia b. r. udało mi się zebrać poszlaki co do kłusowników. Policja prowadzi dochodzenie i mam nadzieję, że sprawcy będą wykryci. Ranionego łosia nie udało się znaleźć, ponieważ woda zalała ostępy. Sługa — Genarjan Zielonko".

Hal kłusownicy to nieszczęście w gospodarce łowieckiej. Lecz, przepraszam, ale my dalej z autem siedzimy w wodzie. Rada w radę, pozbyliśmy się obuwia i na bosaka z auta, do wody, wyżej kolan, aż na murawę. W aucie pozostała jedynie cierpliwa pani Marja, samotna ze swojemi niecodziennemi dumkami. Mrok zawisł już nad głowami. Motor nie rusza. Posłał książę do odległego o dwa kilometry uroczyska po cztery woły. Ja dla przyśpieszenia tej pomocy wypaliłem na alarm jeden nabój z radziwiłłowskiej dubeltówki, aż się sowy pozrywały. „Mnóstwo gwiazd błysnęło na niebie, zaświeciła droga mleczna, utkana jakby z przeźroczej, srebrnej gazy i brylantowych łez. Wieczór sierpniowy zapanował cichy, wonny, rozgwieżdżony" — jak to pięknie pisze Helena Mniszek w „Książętach boru".

A naszą niefrasobliwą panią Marję ciągną cztery woły zaprzęgnięte do auta. Niezwykłe uczucie i niezwykły widok... godny umieszczenia na kliszy, gdyby nie wieczór — wieczór pełen niezwykłego uroku.

Dobrnęliśmy do gajówki. Tu nas czekała puszczańska wieczerza, zakrapiana zlekka monopolówką. Sypią się kawały, jak pierze z rozdartej poduszki, humor spotęgował się, lecz... przemęczenie gra po kościach. Gasną kaganki, przez otwarte okna gajówki wpadają kołyszące i senne rozhowory miljonów drzew. Morfeusz otulił wszystkich.

Drugiego dnia rankiem moja zachwycona towarzyszka i ja jedziemy przy pięknej pogodzie w motorówce rzeką Lwą, przedzierającą się środkiem głuchej puszczy, jakby przez dżungle. Niezapomniane widoki. Opary unoszą się, a z poza przezrocza ich welonów wyłaniają się stogi świeżego siana o zapachu jak balsam, a za niemi ściana tajemnego, ciemnego i głuchego lasu. Te cuda przyrody widział także Juljan Fałat i wziął je na płótno. Po dwugodzinnem biciu motoru płyniemy na odmianę cicho wśród niepojętej ciszy. Łódkę unosi sama fala. Wtem w przybrzeżnych krzakach rozległo się gwałtowne łamanie gałęzi i głośny plusk wody. To łoś zanurzony w zaroślach uchodzi w głąb lasu, oburzony widokiem ludzi-intruzów, którzy wdarli się w jego błogosławioną krainę błot.

Po czterech godzinach dobiła motorówka do gajówki Hołowy. Rozpakowaliśmy bogaty prowiant, w który z całą drobiazgowością wyposażyła nas arcymiła księżna-gospodyni, nie zapominając nawet najdrobniejszych rzeczy. Posileni i wypoczęci, wdzialiśmy na nogi chodaki t. zw. apostołki i cichutko, bez rozmowy, udaliśmy się przed zachodem słońca z przewodnikiem w ostęp Dołhij Ostrów, gdzie wysoko, na masztowych sosnach, urządzono wygodną myśliwską czatownię, nazywaną przez gajowych „hochsztandem". Z czatowni tej, zamaskowanej wśród gałęzi, roztacza się daleki widok na prawdziwe królestwo łosi. Do tej wygodnej czatowni, jak do Mekki, podąża każdy gość ordynata i stąd wytężonym wzrokiem wypatruje wśród bagien, krzaków i trzcin sylwetkę łosia. Zazdrości godzien jest ten, który przynajmniej raz w życiu mógł tu być na tych rojstach i widzieć to olbrzymie, o monstrualnej budowie zwierzę. Tu przed dwoma laty napróżno wypatrywałem oczy przez kilka wieczorów, podczas gdy mojemu ówczesnemu towarzyszowi, profesorowi uniw. E. Schechtlowi widocznie szczęśliwsza przyświecała gwiazda.

Ordynat dawidgródecki swe najpewniejsze i najbogatsze w łosie rewiry tak urządził, że przez niedostępne dotąd topiele i kołyszące się bagna poprzerzucał pojedyncze, nieco ociosane pnie drzew, tworzące wąziutką i zamaskowaną prawie kładkę, niejednokrotnie szerokości zaledwie stopy ludzkiej w lipowych łapciach. Przejście przez takie kładki, ciągnące się długiemi kilometrami, to formalne gimnastyczne ćwiczenie równowagi, do którego trzeba mieć już pewne przygotowanie. Gdyby nie długi kij pielgrzyma w ręku, będący jedyną podporą i ratunkiem, niejeden wpadłby w bagno, choć i kij niezawsze pomaga. Żal mi było mocno naszej powieściopisarki, która w drodze do czatowni przeszła istne męki Tantala, zamoczona po biodra w poleskiem rozgrzanem błocie. Żal mi jej było tem więcej, że wiedziałem z doświadczenia, iż ujrzenie łosia jest stale pod znakiem zapytania.



Drewniany krzyż, postawiony w ostępie Dołhij Ostrów. Fot. J. W. Kobylański.

Wreszcie znaleźliśmy się w czatowni. Pani Marja usiadła na wygodnej ławce, szczęśliwa, że nie potrzebuje już wytężać uwagi, patrząc pod nogi. Kładka się skończyła. O powrotnej peregrynacji tą samą drogą myśleć narazie nie chciała.

— Jest! jest! — szepcze gajowy Józef — wskazując palcem na krzaki przed nami.

Istotnie w odległości około 300 metrów ujrzeliśmy sylwetkę łosia, skubiącego gałązki, z wyraźnym kierunkiem marszu ku nam. Zamarliśmy jakby na komendę. Do uszu dolatuje coraz wyraźniejsze stąpanie po wodzie. Co parę kroków zwierz się zatrzymuje, wietrzy dookoła, a po zrekognoskowaniu terenu zmierza znów naprzód. Ażurowa mgła wieczorna strzępi się na ostrych liściach trzcin i szuwarów. Zaiste po mistrzowsku uchwycone są obrazy Fałata. Łoś zbliżył się niemal pod czatownię. Obserwowaliśmy go z odległości niecałych 50 kroków przez kilka minut, aż oddalił się tą samą drogą.

— Pani Marjo. Pani faktycznie w czepku się urodziła. Ledwie zdołaliśmy tu usiąść, a łoś już przyszedł do pani z wizytą.

— Powinien mnie pan zawsze brać z sobą, jako maskotę.

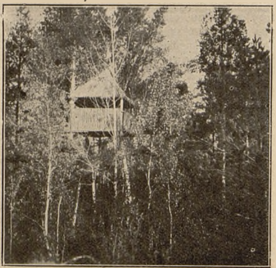
— Zgoda! Jutro pobudka o godzinie wpół do trzeciej rano. Idziemy na spotkanie łosi dzisiejszą drogą, a dalej przez ostępy Odynice, Piotrowy Odynice i z powrotem na śniadanie do Hołowy.

Droga powrotna dała się we znaki mej towarzyszce. Słońce zapadło. Nastał głęboki wieczór puszczański, pełen tajemniczych głosów różnego ptactwa. Wracamy w milczeniu, każdy z napiętą uwagą, by nie stracić kładki pod nogami. A puszcza wokoło rozlewa cudowny zapach swych drzew, kwiatów i traw wodnych. Zaklęta kraina. Wreszcie zeszliśmy z kładek na prawdziwy grunt leśny, na udeptaną ścieżynę. Przystanęliśmy jakby dla wypoczynku... nasłuchujemy... ciemny bór szumi i szumi, bo te drzewa mają też swoje przeżycia i własną dolę i niedolę... Każdy niemal z tych Dewajtisów ma wiele do powiedzenia, któż jednak odgadnie ich ponurą mowę, zawartą w szeleście

liści. Mijamy powalony kiedyś burzą olbrzymi konar dębu...

— Oto jest — pani Marjo — dziewicza puszcza, urocza kolebka marzeń myśliwskich, królestwo wody, zwierząt i drzew, prastarych drzew...

„Tu ich nigdy zabójcza nie tknęła siekiera:
Drzewo samo wyrasta i samo umiera".



Czatownia w ostępie Dolhij Ostrów.
Fot. J. W. Kobylański.

W gajówce czekał nas Marko z zaimprowizowanym rosołem, ugotowanym na wolnem powietrzu. Rosół ten był dla nas w tym momencie smacznym, jak sok brzozowy dla Poleszuka. Nawet „sałamacha", jaką nam z przejęciem spitrasił, mieszając słoninę, pomidory, ziemniaki, jaja i kompot z wisien w jedną potrawę, była dla nas wyszukaną delicją. Końcowy efekt tej — nie kolacji, o czem lepiej nie pisać — lecz dzisiejszej wyprawy na podpatrzenie łosia z czatowni był taki, że następnego dnia raniuteńko sam wybrałem się do puszczy, z nieodstępnym gajowym Józefem.

„O jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w łosiowe knieje,
Jak tajemnicza ta chwila w puszczy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje".

Nie żałuję tego poranku. Dał mi on niezapomniane emocje, których niewielu ludzi przeżywać może. Na wczesne „dzień dobry" powitał mnie z odległości około dwustu kroków potężny łoś-badylarz, bijąc na trwogę, niebawem zaś, niemal z pod nóg moich, zerwał się kozioł z dwiema sarnami. Lecz to było dopiero preludjum do tego, co miało za chwilę stworzyć clou mojej rannej wyprawy. Byłem w ostępie Odynice. Wynurzając się cicho, jak kot, bo w łapciach, z poza krzaków na zakręcie, znalazłem się raptem przed olbrzymim łosiem, niemal oko w oko. Tym razem był to byk-łopatacz, który z rannym apetytem zajadał młode pędy łozy, to znów na otwartem bagnie leśnem — kaczeńce, zwane na Polesiu łotocią. Przykucnąłem w szuwarze i nadziwić się nie mogłem tej przecudnej scenie, spoglądając na nią z bliskości. Wyciągnąłem z kieszeni aparat i zrobiłem dwa zdjęcia. Dochodziła godzina piąta rano. Po drugiej stronie kładki odezwał się drugi łoś — to rozpoczął się wab. Ruszył mój łopatacz zwolna, okazały jak lokomotywa i niebawem utonął w gąszczu sitowia. Zmierzyłem odległość: fotografowałem na 24 kroki. W drodze powrotnej spłoszyłem jeszcze głuszca i cietrzewia. Tropów łosi — bez liku. Słońce wzniosło się wysoko. Niech żałują ci, którzy tego poranku ze mną nie byli. Ja ich także żałuję. Żałuję, że nie miałem przy sobie duszy bratniej, któraby razem ze mną nasycać i radować się mogła. Lecz... oto inny żal jeszcze chwycił kleszczami upojoną czarem duszę: tak jak liść płacze, że go wiatr z gałęzi na ziemię rzuca i w piękny dzień słoneczny umierać mu każe, tak i nam trudno było zebrać się do odlotu. Niezawsze bowiem promień słońca jest pocałunkiem kochanki. Gościna gospodarzy i ich otwarte serce, czyniły tem cięższą rozłąkę z czarnym borem puszczy, z jej kniejami, ostępami i uroczyskami, kędy łoś stąpa.

Jasnym płomieniem zapłonął w sercach znicz wielkiej wdzięczności.

Bądź zdrowa, ojczysta kraino czaru i cudow!

„...dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie".

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

WOLNA TRYBUNA.

CO PILNIEJSZE?

Wieści z Krakowa głoszą, że powstał zamiar wyłączenia mieszańców żubro-bizonów z Puszczy Białowieskiej i wprowadzenia ich do podkrakowskiego kompleksu leśnego w powiecie bocheńskim, zwanego jeszcze dotychczas Puszczą Niepołomską.

Podobno nawet ktoś ze specjalistów badał już te lasy pod względem flory, musiał więc stwierdzić obecność roślinności, stanowiącej główne pożywienie żubrowatych, co jest podstawą wszelkich w tym kierunku poczynań.

Lasy te stanowią dzisiaj kompleks podzielony na dwa nadleśnictwa państwowe: Niepołomice właściwe i Gawłówek, od strony Wisły zaś znajduje się trzecie — Grobla. W pierwszych dwu przeważają drzewostany szpilkowe, w trzeciem — dębina.

W okresie wielkiej wojny, jako prowadzący przez kilka lat to trzecie nadleśnictwo, poznałem tę „puszczę" i dlatego pozwalam sobie na parę uwag odnośnie do powyższego projektu.

Była to ongiś pierwszorzędna knieja. Świadczą o tem stare annały, opowiadające o królewskich łowach na najgrubszego zwierza; świadczy także stare zamczysko myśliwskie w Niepołomicach i *fossilia*, znajdywane w okolicy *).

*) I ja posiadam ząb trzonowy mamuta oraz odłam poroża jeleniego, znalezione w piaskach wiślanych w Grobli. Jeleń musiał być rozmiarów gatunku jaskiniowego, sądząc z grubości poroża. *(Przyp. aut.)*

Ale dzisiaj?! Dzisiaj lasy te są dla podkrakowskiego otoczenia bezcenne, jako jedyny większy rezerwuar drzewny na całą, prawie bezdrzewną okolicę. Natomiast — po kniejach karpackich — uderza mnie zniechęcająco ich smutna „ażurowość".

Z fauny myśliwskiej posiadają one w skromnych rozmiarach i o charakterze raczej wędrującym sarnę, lisa, dzika i lokalnym — zająca. Ponieważ mieszkańcy otaczających wiosek, jako wiecznie głodni opału, wciąż nawiedzają ukradkiem te drzewostany, wszystko, co w nich żyje, jest wciąż niepokojone. Przy stałej eksploatacji „suszu", skrzętnie wyzbieranego, od najgrubszych do najcieńszych gatunków, nie może być mowy o poważnych, naturalnych ostojach zwierzyny, tembardziej o większych powierzchniowo rezerwatach dla niej.

Tak przedstawiała się sytuacja lat temu kilkanaście. Wątpię czy obecnie zapotrzebowanie chłopskiego opału w okolicy zmalało; „puszcza" zatem stała się raczej jeszcze więcej przejrzystą i niespokojną, a stosunek okolicznej ludności do niej jeszcze trudniejszy do opanowania. Gdyby udało się nawet odzwyczaić otaczające włościaństwo od traktowania puszczy za swoją drewutnię, to jeszcze daleko byłoby do zrealizowania pojęcia „sacro-sancta" pod względem przecinających ją ścieżek i rozmaitych skrótów w przechodach, używanych od niepamiętnych czasów.

Przyjmijmy, że i te przeszkody przez obopólne porozumienie i obustronną wyjątkowo dobrą wolę dało-

by się jakoś opanować i że wskutek tego dostatecznie uspokojone lasy zaczęłyby wytwarzać gąszcze, zdatne na ostoje zwierza. Czy jest jednak „puszcza" aż tak obszerna, by ostoje te były dostatecznie zdala od zrębów lasu dla ludności? Wieleż lat konsekwentnej pracy, żelaznej wytrwałości i rozumienia jej celowości przez personel na to potrzeba!

Tymczasem skoro Białowieża, tak doniedawna dumna z każdego przybytku w rodzinie żubrów, teraz wypowiada mieszkanie u siebie mniej czystym rasowo jej członkom — choć bynajmniej nie grozi jej jeszcze przeludnienie — to widocznie racje po temu muszą być dość pilne. W takim razie, czy nie racjonalniej byłoby rozejrzeć się za innem pomieszczeniem w Polsce, odpowiedniejszem od Niepołomic? Nie brakuje ich zapewne.

Jeżeli jednak nie zależy na tem, aby właśnie historyczna Puszcza Niepołomska posiadła z powrotem pierwszorzędne okazy atrakcyjne swej kniei, może możnaby tymczasem poczynić odpowiednie separacje w tak rozległej Białowieży.

Czyż nie mamy jednak pilniejszej troski, aby ratować wspaniałą rasę naszych jeleni i niedźwiedzi w Karpatach?!

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU KRASNYSTAW.

W roku bieżącym, Starostwo nasze, odnosi się bardzo przychylnie do porozumień z delegatami powiatowymi — pozwoleń na broń wydano na rok bieżący, znacznie mniej i kłusownicy są karani bardzo surowo i bezwzględnie.

Zwierzostan poprawia się widocznie, nawet i stan dzików powiększa się. Parę majątków w powiecie dba o zwierzynę i tam widać rezultat ich pracy. Do tych należą: dobra Orłów, dzierżawione od lat czterech przez „Orłowskie Kółko Myśliwskie", gdzie stan zwierzyny stale wzrasta, Suchodoły (widoczny przyrost zwierzyny), Siennica Różana (dziki, sarny, lisy, zające i kuropatwy wprost imponują ilością), Mościska (stan zajęcy i kuropatw duży), Ostrzyca (widoczny przyrost zajęcy i kuropatw wyjątkowo duży), Surhów (znaczna poprawa w zwierzostanach), Pilaszkowice (doskonały zwierzostan). W rządowem nadleśnictwie Łopiennik, Białka i Namule, widać staranną opiekę i znaczny przyrost zwierzyny, szczególnie sarn jest bardzo dużo. Dzików na terytorjum powiatu jest około 150 sztuk.

Na polowaniach urządzanych przez Orłowskie Kółko Myśliwskie ostatniej zimy, padło: 14 dzików, 2 rogacze, 6 lisów i 220 zajęcy. Ogółem w przeciągu dzierżawy tego polowania, tu jest w ciągu lat czterech, ubito: 21 dzików, 31 lisów, 5 rogaczy a 868 zajęcy.

Szkodników zabito przez straż leśną: 97 psów, 42 koty, 36 jastrzębi, 65 wron i 8 lisów.

Do Kółka należą: pp. Ludwik Thonnes z Ostrzycy, Zygmunt Skolimowski z Surhowa, Gustaw Kiwerski z Wierzbicy, Zygmunt Bukraba z Piask Ruskich, Władysław Kołaczkowski z Dobużka, Henryk Gerlicz z Kraczewic, Kazimierz hr. Szeptycki z Łabuń, Jerzy Koszarski z Siennicy Różanej, Henryk Rüdiger z Rejowca, Witold Mogilnicki z Bzowca. Założycielem Kółka i prezesem jest Ludwik Thonnes z Ostrzycy.

K ó ł k o m a 10 m i e j s c w o l n y c h — kandydatów przyjmujemy przez balotowanie.

LUDWIK THONNES.
Del. P. Z. S. Ł. na pow. Krasnystaw.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Wobec zgonu ś. p. Ojca współpracowniczki Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, p. Heleny Jarczyńskiej, składamy Jej na tem miejscu wyrazy szczerego współczucia.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

R O Z M A I T O Ś C I.

OBOJĘTNY ROGACZ.

(Z powiatu Wołyń).

Spieszę się podzielić z Szanowną Redakcją „Łowca Polskiego" świeżem wrażeniem niezwykłego, zdaniem mojem, zdarzenia, którego bardzo niedawno byłem świadkiem.

Gościowi mojemu przypadł odstrzał stale na leśną łączkę wychodzącego rogacza w obrębie niedalekiego obstrzału znajdującej się na podwyższeniu czatowni. Do stojącego na jakieś 120—140 kroków bokiem rogacza dał myśliwy ten, z przestankami dla wprowadzenia do lufy Manlichera kul, 2 serje strzałów. Najpierw cztery kolejne, na które rogacz a b s o l u t n i e nie reagował; (przez b. dobrą lornetkę obserwowałem dymki od blisko koło rogacza padających w trawę kul); po tych strzałach rogacz spokolnie wszedł do niedalekiej łozy, skąd przyszedł. Po jakichś 10 minutach, ten sam rogacz, co do identyczności którego jestem pewny, bo miałem czas oddawna mu się przyjrzeć, wyszedł z tej samej łozy już na jakieś 80—85 kroków, stanął bokiem do czatowni i znów zostały skierowane w jego stronę 4 strzały kulowe, na które ten dziwny rogacz także najmniejszym ruchem nie reagował.

Po owym ósmym zkolei strzale uznał rogacz za stosowne z pewną godnością usunąć się z powrotem do łozy na zgóry zapewne obmyśloną pozycję.

Parę tygodni temu, z tej samej czatowni ustrzeliłem tego, tak dobrze mi znanego, niesamowitego rogacza. Był to dość doży szóstak z bardzo słabo rozwiniętem porożem, według uzębienia — trzyletni.

Jest to niewątpliwie typowy objaw zdarzającego się w rzadkich coprawda wypadkach „zagapienia się", czy niezorjentowania się zwierzyny w sytuacji, grożącej niebezpieczeństwem, a w każdym razie takiej, która powinna pobudzić czujność i ostrożność zwierza.

AZA.

Panów Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na czwarty kwartał b. r., lub na miesiąc październik. Jednocześnie prosimy o propagowanie idei, którym służy nasze pismo i o zjednywanie mu coraz dalszych kół zwolenników. **Administracja.**

CZASY OCHRONNE NA 1934 R.

dla zwierzyny łownej, obowiązujące na obszarze Rzeczypospolitej, z wyjątkiem woj. śląskiego.

RODZAJ ZWIERZYNY:	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiec.	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listop.	Grudzień	UWAGI
Łosie-byki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	Polowanie zabr. do 31.XII 35 r.
Łosie-samice i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Jelenie-byki, daniele-rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■	
Jelenie i daniele samice i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Sarny-kozły w woj. pozn. i pomors.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
" " w woj. krak. lwow. stan. i tarn.		■	■	■	■								termin obow. do 31.XII 1936 r.
" " pozostałe województwa		■	■	■	|||15								"
Sarny kozy i koźlęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Dziki			■	■	■	■							termin ten obow. do 31.XII 1935
Niedźwiedzie	15|||	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16	termin ten obow. do 15.XII 1934
Niedźwiedzice z małemi	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Rysie	16|||	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16	termin ten obow. do 15.XII 1934
Żbiki		■	■	■	■	■	■	■	■				termin ten obow. do 1.XII 1935 r.
Kuny leśne (tumaki)		■	■	■	■	■	■	■	■	■			" "
Norki		■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	" "
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■	
Wiewiórki			■	■	■	■	■	■	■	■			
Zające-szaraki w woj. pomor. i poznań.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			termin ten obow. do 31.XII 1935
" " wileń., nowogr. i polesk.		■	■	■	■	■	■	■	■	■			" "
" " pozostałe województwa		■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			" "
Zające-bielaki		15|||	■	■	■	■	■	■	■	■			
Głuszce-koguty	■	■	|||15		15|||	■	■	■	■	■	■	■	
Głuszce-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Cietrzewie-koguty						■	■	■	|||15				
Cietrzewie-kury w woj. wil. now. biał. pol. i woł.	■	■	■	■	■	■	■	|||16	16|||	■	■	■	
Cietrzewie-kury w pozostałych wojew.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Jarząbki i pardwy		■	■	■	■	■	■	|||16					
Bażanty-koguty		■	■	■	■	■	■	■	■	|||15			termin ten obow. do 31.XII 1935
Bażanty-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Kuropatwy w woj. wil. now. biał. pol. i wołyń.	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■	
Kuropatwy w pozostałych wojew.	■	■	■	■	■	■	■	■				■	
Przepiórki	od przylotu		■	■	■	■	■	■					
Dzikie indyki-samce					15|||	■	■	■	■	|||15			
Dzikie indyki-samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			
Słonki					16|||	■	■	|||16					
Bataljony						■	|||10						
Dzikie kaczory						■	|||16						termin ten obow. do 31.XII. 1935
Dzikie kaczki-samice i młode oraz inne ptactwo wodne i błotne	■	■	■	■	■	■	|||16						" "
Czarne bociany	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					16|||	■	■						
Dropie i dropie kamionki (strepety)	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	termin ten obow. do 31.XII. 1935
Dzikie gołębie, drozdy, kwicz., paszkoty		■	■	■	■	■	■	|||15					
Ptaki brzegowe i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	|||16					
Wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, orły i wrony													wolno polować przez cały rok
Lisy, orły													czasu ochronnego niema
Żubry, bobry, kozice, świstaki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	polowanie zabronione

Terminy ochronne rozumieć należy włącznie.

ZABICIE ŁOSIA PRZEZ KŁUSOWNIKÓW.

W dniu 30/VIII 1934 r. w godzinach rannych, mieszk. wsi Turna, gm. Święta Wola, pow. kosowskiego, Tomasz i Łukasz Radziwon ss. Grzegorza, którzy od 2-ch dni tropili łosia wraz z Włodzimierzem Saganowiczem, gajowym lasów państwowych oraz przy pomocy psów, wpędzili go w błota, położone około wsi Turna, gdzie łoś ugrzązł.

Wówczas Tomasz Radziwon i Jakim Dziaczok przywiązali sznurem łosia do drzewa, poczem przy pomocy Saganowicza Grzegorza, Saganowicza Dymitrego, Radziwona Jakóba, Popieki Joachima, Skorupicza Jana, Saganowicza Łukasza, Hołowczyka Mikołaja, Mamczyca Ignacego, Radziwona Grzegorza i Radziwona Teodora zabili łosia w bestjalski sposób, bijąc go siekierami, kosą, widłami i drągami. Na zamordowanym w ten sposób łosiu znaleziono kilkaset (!) ran.

Do zabicia łosia podżegał Saganowicz Michał, aczkolwiek wiedział, że za zabicie łosia czeka go kara.

Gajowy Włodzimierz Saganowicz, który pomógł łosia wpędzić w błota, widząc, że czyn nabierze rozgłosu, w ostatniej chwili, przed zabiciem opuścił miejsce na którem zabito unieruchomione zwierzę.

Oczywiście winnych spotka rzetelnie zasłużona kara i należy się spodziewać, że według najwyższego wymiaru.

Niemniej stan łosi w nadleśnictwie „Wiado", dzięki wydatnej opiece Naczelnego Dyrektora Lasów Państwowych, p. Adama Loreta i bardzo energicznej ochronie ze strony nadleśniczego p. K. Czarneckiego, stale się zwiększa i można mieć nadzieję, że o wyczynach tego rodzaju, jak opisany wyżej, coraz rzadziej będą nas dochodzić wiadomości. **R.**

ZABICIE ORŁA PRZEDNIEGO.

Na Pokuciu, w majątku Jasionów Polny, własność p. Marjana Krzysztofowicza, w grudniu 1933 r. zdarzył się rzadki wypadek, że orzeł atakował psa.

Polowy, przechodząc obok kępy drzew, usłyszał skowyt psa, który mu towarzyszył. Gdy wszedł między drzewa, zobaczył orła, siedzącego na psie. Pośpieszył psu na ratunek i uderzył orła laską. Ponieważ nie trafił orła w głowę, ten rzucił się na niego. Polowy, nie tracąc jednak zimnej krwi, jednem uderzeniem laską w głowę położył orła trupem na miejscu.

Był to duży, ładny okaz orła przedniego, który najprawdopodobniej zabłąkał się z pobliskich Karpat.

WŁADYSŁAW KRZYSZTOFOWICZ.

WALNE ZGROMADZENIE W KLUBIE HODOWCÓW WYŻŁA NIEMIECKIEGO.

Zarząd Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego zaprasza pp. Członków Klubu na pierwsze Walne Zgromadzenie, które odbędzie się w dniu 22 października b. r. o godz. 19-ej, w lokalu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich (Nowy Świat 35).

Hodowców i miłośników psów myśliwskich ras niemieckich prosimy o zapisywanie się do Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego (Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 666-15).

Tylko przez wspólny wysiłek szerokich kół z pośród prawdziwych miłośników polowania z użytkowym psem zdobędziemy odpowiednią jakość oraz ilość psów rasowych.

Za pośrednictwem zrzeszenia się możemy dojść do dobrych i tanich psów.

Kto pragnie w dniu 22 października b. r. brać udział w pierwszem Walnem Zgromadzeniu Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego, powinien przed tą datą uiścić wpisowe, wynoszące zł. 5 i wpłacić półroczną składkę członkowską w sumie zł. 3.

ZARZĄD KLUBU HODOWCÓW
WYŻŁA NIEMIECKIEGO.

LISTY DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Aczkolwiek nie chcę za nic w świecie przedłużać dyskusji „ogarowej", to jednak nie mogę pominąć milczeniem artykułu p. gen. St. Skrzyńskiego p. t. „Z bólem serca", uprzejmie przeto proszę o zamieszczenie w najbliższym numerze „Łowca Polskiego" tego listu.

Ceniłem wysoko i cenię p. Generała jako znanego i pełnego kurtuazji literata i myśliwego, toteż byłem niemile zaskoczony formą ostatniego Jego artykułu, będącego nieuzasadnioną chłostą oponentów, przedewszystkiem zaś mojej osoby, która jakoś dziwnie rozdrażniała Sz. Autora „Fragmentów", choć nie widzę ku temu żadnego powodu, bo przecie: de gustibus non est disputandum. Nie mam możności dłuższego replikowania, czego zresztą i nie zamierzam czynić, choć z wieloma Jego poglądami nigdy się nie zgodzę, pomimo, że nie posiadam może takiej rutyny gończarskiej. Nie pozwoliłbym jednak sobie na drukowanie repliki w podobnie ironicznej i krzywdzącej kogoś formie, choćbym najbardziej był nawet wzburzony. Bo ani wiek, ani doświadczenie nie upoważniają jeszcze do pomijania przyjętych zasad grzeczności i dlatego czuję się formą p. gen. Skrzyńskiego przykro dotknięty.

Dziękując zgóry Sz. Panu Redaktorowi za umieszczenie powyższego listu, kreślę się

z poważaniem
Leopold Pac-Pomarnacki.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dnia 10 b. m. odbyło się polowanie w Miastkowie (pow. Garwolin) u pp. E. Kowerskich. Uczestniczyli pp.: starosta Kałuba, Wasilewski, Zawadzki, Adamowicz, Popławski, E. i W. Kowerscy oraz br. Tyszkiewicz. Padło 230 kuropatw, 2 przepiórki i 2 derkacze. Najwięcej mieli na rozkładzie (po 49 sztuk) pp. W. Wasilewski i H. br. Tyszkiewicz.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. br. Potocki, A. br. Rzewuski, gen. St. Skrzyński, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 687-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082.

„PIERRE COCHE": PAYSAGES ET CHASSES DE POLOGNE"
(„KRAJOBRAZY I POLOWANIA W POLSCE"), Z PRZEDMOWĄ MAURYCEGO HR. POTOCKIEGO.

CENA ZŁ. 6.50

W opisach swych Coche jest nietylko umiejętnym obserwatorem, lecz zamiłowanym entuzjastą piękna przyrody, które pod wszystkiemi postaciami umie do głębi poznawać i odczuwać.

Książka Coche'a musi zainteresować każdego kulturalnego myśliwego, w sposób zaś odmienny Polaków. *Wuzet.* („Łowiec Polski" Nr. 18 z r. 1934)

OD 25-CIU LAT

CIESZĄCE SIĘ UZNANIEM
NAJLEPSZYCH MYŚLIWYCH W POLSCE

znakomite
naboje
śrutowe

WARSZAWSKIEJ SPÓŁKI
MYŚLIWSKIEJ

SĄ DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH SKŁADACH BRONI



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie
sp. z o. o.
Ossolińskich 1, tel. 647-47

Poleca strzelby:
G. Defourny-Sevrin à Liege
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki
G. Defourny-Sevrin à Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 639-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę porąb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

SKŁAD BRONI I AMUNICJI „ŁOWIEC"

WARSZAWA, UL. WIDOK 22, TELEFON 504-93

Zaopatrzony w towar najlepszych marek
Na składzie okazyjna broń mało używana.
Warsztaty reperacyjne wykonywują szybko wszelkie naprawy
Ceny wyjątkowo niskie.
Fachowa obsługa. Terminowa dostawa

Szanownej Klijenteli poleca się

WILHELM ZIEGENHIRTE

B. współwłaściciel f-my „H. Strzeburzyński i S-ka", długoletni współprac. f. „H. Sawicki i St. Czerski" i „Robert Ziegler".

OZNAKI

„STRAŻNIK ŁOWIECKI"

z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę
poleca:
Administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, N.-Świat 35

OGŁOSZENIA DROBNE

Do sprzedania: sztucer dubeltowy — kurkowy Lepage'a 11,2 m/m. Drylling luxusowy, kurkowy, kal. 16 i odkurzacz. Mogę zamienić na aparaty fotograficzne „Voigtlaendera" „Leica", „Rolleiflex" lub dwunastkę dobrej marki. Skład broni Maksymowicza — ul. Steckiewicza 15 Brześć N/B

Kuropatwy oraz wszelką zwierzynę bitą kupujemy stale po najwyższych cenach. Dom Handlowy Urbanowski Spółka z o. p. Bydgoszcz, ul. Kwiatowa Nr. 9. Telefon 1426.

Leśnik kawaler z Poznańskiego trzeźwy energiczny obznajmiony z wszelkiemi pracami wchodzącemi w zakres leśnictwa, dobre polecenia, szuka posady zaraz, lub od 1.X. 34 r. Łaskawe oferty pod „zdolny" do Administracji „Łowca Polskiego" 1297.

Pobacza żywego kupię. Włodarczak. Poznań 10. Sucha 2.

Rządca rolny w sile wieku, dobry praktyk, miłośnik i hodowca zwierzyny łownej, poszukuje posady do gospodarstwa na średni folwark; może się zająć chowem bażantów na dziko i woljerowo, zna pszczelnictwo i rybołóstwo. Powołuje się na rekomendacje p. Lazera, nadleśniczego dóbr Krośniewice. Wiadomość: poste restante Solec n/Wisłą dla S. P.

Zajęcy, kuropatw i bażantów żywych zakontraktuję duże ilości, dając od siebie sieci i nadzór przy łapaniu. Oferty z podaniem ilości i cen proszę kierować do Redakcji Łowca Polskiego Nowy Świat 35 dla S. Kamockiego.

Żywe zające potrzebujemy w większych ilościach i prosimy o łaskawe oferty. Dom Handlowy Urbanowski. Spółka z o. p. Bydgoszcz, ul. Kwiatowa Nr. 9. Telefon 1426.

1) „Określanie wieku sarn na podstawie uzębienia dolnej szczęki" **Inż. Leona Ossowskiego zł. 0.40**

2) „Wycenianie trofeów myśliwskich" **Prof. Inż. A. Dyk'a** . . . . **zł. 1.50**

NAKŁADEM POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

DO NABYCIA W ADMINISTRACJI „ŁOWCA POLSKIEGO"

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka. Warszawa.